

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE
ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

List otwarty do przyszłych inżynierów i ich wychowawców

HENRYK JANKOWSKI
Dyrektor Poznańskiej Fabryki Maszyn Zniwnych

Czy jesteśmy zadowoleni z absolwentów wyższych uczelni? Co sądzić o obecnym systemie studiów, o jego osiągnięciach i brakach? Z takimi pytaniami zwróciła się do mnie Redakcja POPROSTU. Chętnie podzielę się swymi uwagami na ten temat, bo jest o czym mówić.

NIEUNIKNIONE TRUDNOŚCI

W ubiegłym roku do pracy w naszej fabryce skierowano ponad trzydziestu młodych inżynierów i tu od razu stanęliśmy przed trudnym problemem. Okazało się, że kierunek ich przygotowania nie zupełnie odpowiada naszym potrzebom: byli to głównie mechanicy, a my najpilniej potrzebowaliśmy wtedy specjalistów do nowopowstającego działu — odlewni.

Ale czy sześć — siedem lat temu (kiedy planowano rekrutację na różne kierunki studiów tych ludzi, którzy dziś są absolwentami) można było dokładnie przewidzieć ilu i jakich inżynierów będzie potrzebować dziś nasza gospodarka? Przecież np. nasza fabryka — Poznańska Fabryka Maszyn Zniwnych — powstała dopiero niedawno, budowa nie jest jeszcze ukończona, wciąż nadchodzą ze Związku Radzieckiego dostawy nowoczesnych urządzeń (np. odlewni), jakich nie spotykamy w naszych starych fabrykach. Myślę, że przy naszym tempie rozwoju techniki i uprzemysłowienia kraju takie trudności z kadrą są chyba nieuniknione.

Wyście jest tylko jedno: inżynierowie muszą się w produkcji „przekształcać” i dokształcać. Zrozumiał to np. inż. Marian Rowicki, absolwent poznańskiej SI, który z nie-malym zapalem przez wiele dni i nocy zapoznawał się z tajnikami nowoczesnej technologii odlewniczej i odlewni, a dziś jest „duszą” tego działu. Cieszy nas również podobna postawa innego absolwenta tej samej uczelni inż. Wiktora Prochaski. Jednak niestety nie można tego powiedzieć o wielu innych młodych inżynierach.

O „GOTOWYCH” INŻYNIERACH

Wielu absolwentom wydaje się, że po zdaniu egzaminów i po otrzymaniu dyplomów są już zupełnie „gotowymi” inżynierami i mogą zapomnieć o nauce. A kiedy przekonają się, że jest inaczej — są tym zaskoczeni i wtedy niejeden z nich próbuje „zaczepić się” w pracy, która wydaje mu się łatwiejsza i mniej odpowiedzialna.

Szczególnie niepokoi nas masowo spotykany u młodych inżynierów „pęd” do różnych biur, a uciekanie od bezpośredniego kierowania produkcją na warsztatach. Najwięcej chętnych zgłasza się do biur konstrukcyjnych, jak gdyby można było być dobrym konstruktorem nie mając praktyki warsztatowej.

Taki np. inż. Władysław Wawdysz, który ukończył SI w Poznaniu, po otrzymaniu przydziału pracy do naszej fabryki długo u-pierał się aż wreszcie postawił na swoim: zamiast w produkcji rozpoczął pracę w Centralnym Biurze Konstrukcyjnym (Nr 3 w Poznaniu). Rezultatem zatrudnienia takiego inżyniera bez odpowiedniego doświadczenia w produkcji było to, że np. opracowane dla nas przez to biuro oprzyrządowanie snopowiązałki okazało się w 50 proc. nienadające się do produkcji (niewłaściwe bazy obróbcze i brak konsekwentnego trzymania się obranych baz, nietechnologiczne wykonawstwa pomocy warsztatowych itp.). Nie trzeba chyba zaznaczać, jak wielkie straty ponosi nasza gospodarka na skutek takiego „projektowania”.

PROGRAMY STUDIÓW A ŻYCIE

Skąd bierze się u młodych inżynierów taki brak zrozumienia stojących przed nimi zadań? Myślę, że przyczyną jest tu przede wszystkim zbyt słabe powiązanie wyższych studiów z praktyką produkcyjną. Winę ponoszą tu w dużej mierze wykładowcy-wychowawcy młodzieży studenckiej.

Charakterystyczne, że np. w poznańskiej SI dwa, trzy lata temu, kiedy wykładowcy nie mieli jeszcze szczegółowych programów — sami szukali tematów w zakładach pracy i dzięki temu byli bardziej powiązani z produkcją. Dziś, gdy uzyskali już pewne programy — powiądanie to wygląda gorzej.

A oto inny, jakże wymowny przykład. Dziekan jednego z wydziałów poznańskiej SI opowiadał, że marzy o wielkim laboratorium z takimi urządzeniami, jakie są stosowane w produkcji. Powiedział otwarcie: marzenia nierealne, bo na to nas jeszcze nie stać... czy w ogóle kiedykolwiek będzie to w pełni realne? Przecież wtedy laboratorium musiałoby się zamieniać w wielkie kombinaty. Zresztą nie jest to niezbędne: niedaleko uczelni jest choćby nasza fabryka, gdzie chętnie widzielibyśmy przez cały rok studentów, którzy przy okazji praktycznych ćwiczeń mogliby i nam w niejednym pomóc. Ale cóż, władze uczelni mają swoje przepisy programowe, wo-

bec których, jak twierdzą „nie uczą” ich taka więz z produkcją.

Same krótkie praktyki wakacyjne — to o wiele za mało, zresztą i one nie zawsze idą we właściwym kierunku. Uważam np. że studenci wydziałów mechanizacji rolnictwa powinni mieć praktyki nie tylko w fabrykach maszyn rolniczych, ale również w gospodarstwach rolnych przy eksploatacji tych maszyn np. w okresie żniw. Wiele, bardzo wiele mogliby wtedy nauczyć się od kombajnistów czy traktorzystów, o wiele lepiej zrozumieliby swe zadania — ale niestety, taka możliwość nie jest wykorzystana.

NIE PROWADZĆ „ZA RĄCZKĘ”

Brak powiązania z praktyką ściśle łączy się z innym niedostatkami obecnego systemu studiów nie wyrabia się u studentów samodzielności, natomiast znaczna część profesorów traktuje nauczanie w ten sposób, że prowadzi studentów „za rączkę”. W rezultacie otrzymujemy do produkcji wielu młodych inżynierów, którzy czekają jedynie na wytyczne nie mając ani „za grosz” inicjatywy.

Chciałbym tu podać jeden przykład z własnego doświadczenia. Oto kiedy w r. 1937 rozpoczynałem pracę jako technik w fabryce H. Cegielskiego — inżynier zaprowadził mnie do oddziału, wyjaśnił ogólnie jego zadania i powiedział: „Pracę znajdziecie sobie sami”. I kiedy po pewnym czasie zgłosiłem, czym chciałbym się zająć — oświadczone mi, że gdybym z tym nie przyszedł, to zwolniłby mnie z pracy, bo nie potrzebują techników, których trzeba prowadzić za rękę.

Czy dziś można by stosować taką metodę? Niestety, młodzi inżynierowie oczekują na to, by dokładnie wyznaczono im zadania „od-tąd — do-tąd”, inaczej na ogół nie potrafią pracować. Rozumiem, że młodzież wychowuje się dziś w bardziej olepiarnianych warunkach, nie musi ona — tak jak my w swej młodości — walczyć o byt, nie martwi się o znalezienie pracy. Ale przecież i w naszych warunkach, w okresie socjalistycznego budownictwa, potrzeba jak największej samodzielności i inicjatywy, które muszą kształtować u młodych ludzi.

CO NA TO ZETEMPOWCY?

Kiedy już mowa o cechach młodego inżyniera — muszę tu wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, o naszych pretensjach — tym razem pod adresem uczelnianych organizacji zetempowskich. Otóż większość młodych inżynierów przychodzi do nas z przekonaniem, że po ukończeniu studiów są już zupełnie dorosłymi ludźmi (choć liczą niewiele ponad 20 lat) i mogą zupełnie oderwać się od życia młodzieży, od pracy w ZMP.

Niektórzy z nich (np. inż. Kazimierz Kubiśka, absolwent SI — Poznań) przez długi czas w ogóle nie mogli znaleźć drogi do fabrycznej organizacji ZMP, unikając jej jak ognia, choć na uczelni byli zetempowcami. Ci znowu, którzy przeniesli się do naszej organizacji — aktywni są tylko w swoim gronie (np. nasza grupa inżynierów-technologów), natomiast nie potrafią znaleźć wspólnego języka z robotnikami, choć tu ich aktywność jest najbardziej potrzebna.

Młodzi inżynierowie nie potrafili włączyć się do pracy kół fabrycznych, bo tu, jak mówią „inne metody pracy niż na uczelni”. Uniknelibyśmy chyba takich nieporozumień, gdyby uczelniane organizacje zetempowskie nawiązywały bliższe kontakty z kółami robotniczymi np. w formie patronatu. Chodzi nie tylko o to, aby zapoznać się z innymi metodami pracy organizacji i pomagać kołom fabrycznym, lecz aby studenci — przyszli inżynierowie umieli żyć z robotnikami i z nimi pracować, bo bez tego nie można być oficerem socjalistycznego budownictwa.

Myślę, że warto aby na uczelniach dyskutowano nad takimi sprawami i wyrażano stałe praktyczne wnioski. Jest o czym mówić.



Pierwszy tydzień kalendarzowej wiosny — to jednocześnie Światowy Tydzień Młodzieży. Zestawienie — jest niemal symboliczne. Na całej kuli ziemskiej, młodzi walcą o radość życia, o prawo do wolności i szczęścia. Szeroko rozlegają się w tym tygodniu słowa naszego wspólnego hymnu, który nie zna granic ni kordonów: „Naprzód młodzieży świata, nas braterski połączył dziś marsz...”

List do redakcji

Tępota sumień

Istnieją sytuacje, w których ciągle jeszcze wygrywa bezcelność, nieuczciwość... Gdy dobie-rasz się do nich od podszewki, spotykasz ze zdziwieniem znanych ci towarzyszy ciemnych sprawek: bezdusność i biurokrację. Aż strach bierze, jaką posiadają tu one moc, jak sprawnie potrafią dać sobie radę z sumieniem człowieka myślącego. Wtedy przysłowie o... wilku sytm, i owcy całej nabiera specjalnej wymowy. Bieda temu, kto nie pojmie owej zasady złotego środka, albo zrozumie, a nie potrafi zmusić sumienia do wygodnego choć podłego milczenia.

✱

30 proc. nie zdanych egzaminów na III roku wydz. handlu i nie mniej na latach pozostałych to plan ostatniej sesji WSE w Poznaniu. Po 5-dniowej przerwie semestralnej rzecz jasna, żadnego z „poprawkowiczów” nie spotka się na zajęciach — przygotowują się do czekających ich niełatwych egzaminów.

Wykładowca z ubolewaniem stwierdza oibryzmia absencję na zajęciach. Wyjaśnienia nieobecnych studentów są szczerze... przekonywujące... Nie było profesora, który by ich nie „rozgrzeszył” (wiadomo bowiem, że nawet tych 7-10 dni o-puszczonych zajęć nie zawsze wystarczy do przygotowania się do sesji poprawkowej). Kłopot istnieje natomiast z komisją dyscyplinarną. Problem ten jest szczególnie poważny dla starszów grup, którzy chcąc wyżyć obroną ręką z „głupiej historii” żeby to i wilk... itd. za, isują obecności „wytlumaczonym” nieobecny i... „szafa gra”.

Widzi to organizacja ZMP, profesorowie, opiekunowie lat, grup, wydziałów i... nie zwracają uwagi. Staszek, jeden ze starszów III roku, długo zastanawiał się: co zrobić? Zapisać nieobecnych — potrąca im stypendium.

Nie zapisać — nieuczciwie.

Nie odnotować. W kilka dni później przyszedł do tego opiekunowi grupy i jako nieuczciwy uwaga. Staszek, jeden ze starszów III roku, długo zastanawiał się: co zrobić? Zapisać nieobecnych — potrąca im stypendium.

✱

Krysię Makrocką okradziono. Podobna historia wydarzyła się Andrzeja Hamerze. Wraz z portfelem zginięły obojgu legitymacje zetempowskie.

Od września ub r trwają starania o otrzymanie nowych legitymacji.

Wymagane jest pisemne potwierdzenie świadka, że legitymacja zginęła w okolicznościach wskazanych przez poszkodowanego. Krysię, (niestety, los chciał), okradziona została bez świadków. Zarząd Dzielnicy-Sródmieście w Poznaniu zdecydował — legitymacji nie otrzyma.

Cóż robić? Krysię zdobyła podpis pod oświadczeniem. Zarząd koła WSE przyjął wniosek Andrzeja dopiero wtedy, gdy był zaopatrzone w podobne zaświadczenie.

Również w ZD ilość zmyślonych oświadczeń z oryginalnymi podpisaniami. Kłamstwo i „zapobiegliwość” stają się ceną zetempowskich legitymacji.

✱

Ambicją Rady Mieszkańców DS na Winogradach jest utrzymanie pierwszego miejsca we współzawodnictwie między Domami Studenckimi. Pragnienie to podzieliła pracownik radiowęzła, kolega z WSE.

Przemysłowość i spryt już nieraz uratowały honor Winograd i to w bardzo prosty sposób. Gdy tylko komisja wchodzi w drzwi domu — z radiowęzła rozlega się ostrzegawczy komunikat.

Niestety DS im. Hanki Sawickiej nie jest zradiofonizowany. Tu pół tysiąca pokoi gotowe jest do przeglądu w bardziej naturalnym stanie. Prawdopodobnie dlatego DS ten zajął tylko III miejsce.

Tym sposobem jeden sprytny, przedsiębiorczy, młody człowiek zastępuje codzienny, zmudny trud współzawodnictwa. Grunt to inicjatywa. A sumienie?...

✱

Jak ocenić fakt, że dziś, w miesiąc po II Zjeździe, ZU ZMP zleca organizatorom „zorganizowanie” na określony termin w podanym liczbą limitie na grupę... szczerzej (sic!) wypowiedzi na temat: „Moje 10-lecie”.

Czy nie rzeczywiście nie „odtają” w organizacji poznańskiej WSE? Czy istnieje tylko kłamiwa Krysię, sprytny, młody człowiek z radiowęzła i bezmyślny organizator usiłujący ująć w limity i cyfry najskrytsze i najpiękniejsze przeżycia młodzieńca czy dziewczyny w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej?

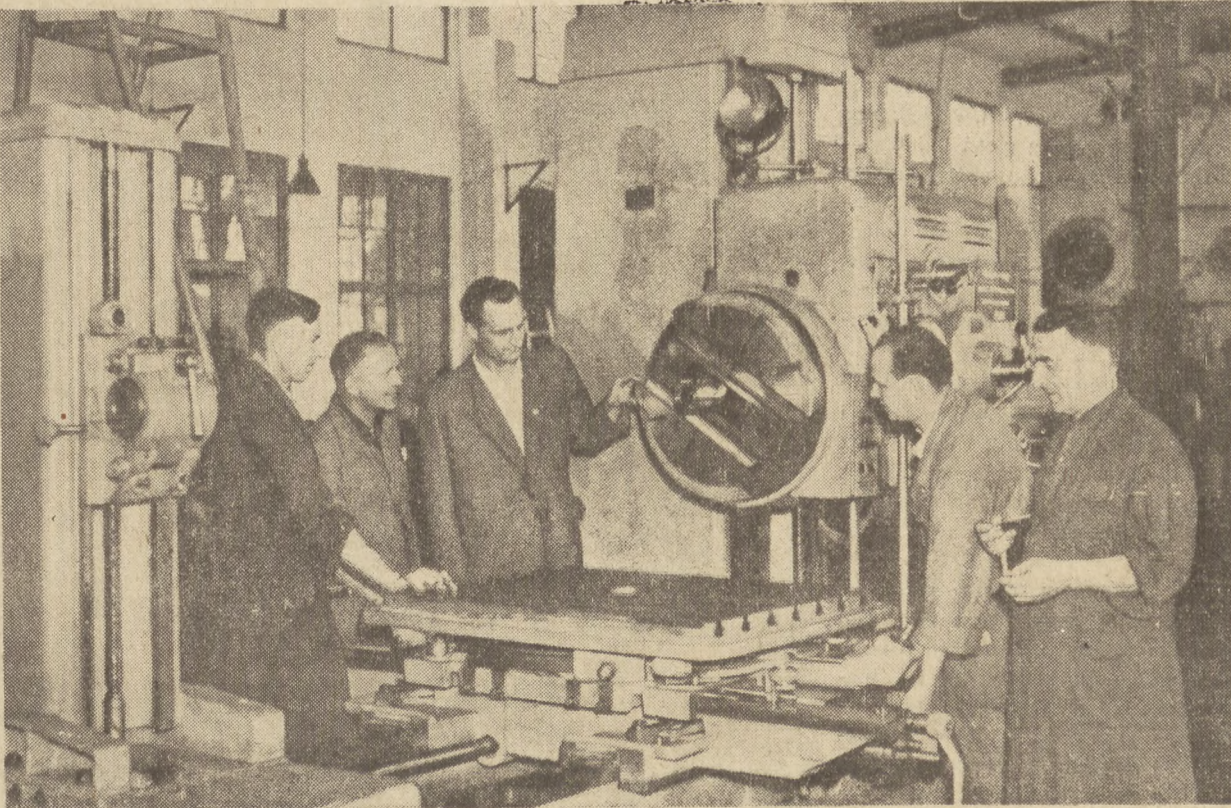
Na pewno nie. Jest jeszcze Staszek Dłatego nie pozwólmy żeby Staszek zwątpił w sens swego czynu, żeby wyparł się własnego, niespokojnego sumienia. Pomóżmy Staszce. Staszeków — wierzę mi — jest więcej.

ZYGMUNT SABILLO
WSE — Poznań

- o czym chciałbyś dyskutować?
- w czym potrzebna Ci jest pomoc organizacji zetempowskiej?
- jakie formy pracy polityczno-wychowawczej najlepiej Ci odpowiadają?

Zabierz głos na zebraniu w czasie którego będziecie wybierać delegata na konferencję miejską, dzielnicową lub wojewódzką.

Pamiętaj, że dyskusja z j a z d o w a trwa nadal.



Nast absolwenci-inżynierowie spotykają się w produkcji z wieloma nowoczesnymi urządzeniami, z którymi nie zawsze zapoznawali się podczas studiów. Na zdjęciu: pracownicy rozbudowującej się Poznańskiej Fabryki Maszyn Zniwnych sprawiła działalność jednej z wytwórni otrzymywanej w ramach do-
staw ze Związku Radzieckiego.
Foto CAF



Chcemy zdobyć w Warszawie uznanie młodzieży świata

(Korespondencja własna z Berlina)

Poprosiłem mego przyjaciela Stefana Supronowitza, tak jak i ja studenta III roku prawa Uniwersytetu Humboldta w Berlinie, aby opowiedział mi trochę o „Berliner Studentenensemble” czyli zespole studentów berlińskich.

„Ależ to świetnie!” — wykrzyknął Stefan i natychmiast z zapalem zaczął mi wyjaśniać, że już od szeregu miesięcy myśli członków zespołu zaprzątęte są kwestią: co tu zrobić, aby móc wziąć udział w V Światowym Festiwalu w Warszawie?

Siedzimy teraz wraz ze Stefanem w bibliotece naszego wydziału i wertujemy pokaźną kronikę zespołu, w której odnotowane są wszystkie ważne fakty z jego historii.

Podwaliny zespołu utworzone zostały w roku 1950, kiedy to z górą 700 tysięcy młodych Niemców na wezwanie Centralnej Rady FDJ zebrało się w murach Berlina — na I Ogólnoniemieckim Spotkaniu Młodzieży. Na dziesiątkach małych, prowizorycznie skleconych drewnianych estrad występowały wówczas ludowe zespoły artystyczne z zakładów pracy, m. in. był tam także 60 osobowy podówczas chór studentów Uniwersytetu Humboldta. Z tego małego chóru, w wyniku kilkuletniej mozolnej pracy przygotowawczej rozwinął się zespół BSE — Berliner Studentenensemble — liczący dziś przeszło 230 członków. Składa się on z pierwszorzędnego pod względem materiału głosowego i bardzo zdyscyplinowanego chóru, z grupy tanecznej, która odznaczona została jako najlepsza w Republice, z orkiestry o dobrej obsadzie oraz kółka dramatycznego, niedostatecznie jeszcze rozbudowanego.

Już w 1952 roku zespół odbył swoje pierwsze tournée zagraniczne po Czechosłowacji i nawiązał przyjacielskie stosunki z czeskim zespołem akademickim. Gdy BSE przejeżdżał w roku ubiegłym przez Pragę do Austrii — jego czescy przyjaciele zgłosili mu huczne przyjęcie. Pociąg przyszedł z ośmiogodzinnym opóźnieniem, ale prasy studenci całą noc czekali na dworcu, aby powitać swych przyjaciół. „Sam już nie wiem, ile ramion wyścięskalo mnie — mówi Stefan. — Pamiętam tylko, że powitaniem naszym i radości nie było końca”.

W roku 1953 BSE został zwycięzcą na okręgowych eliminacjach w Berlinie, a następnie stanął do końcowej rozgrywki między najlepszymi zespołami NRD. Zwycięzczy przypisać miał w udziale wielki zaszczyt uczestniczenia w IV Światowym Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie... W końcowych eliminacjach BSE zdobył dopiero trzecie miejsce i musiał na razie zrezygnować z wzięcia udziału w Festiwalu.

„Mało kto spośród nas zwiesił wówczas głowę — opowiada Stefan. — Większość zareagowała w sposób właściwy i postanowiła jeszcze więcej pracować nad poziomem artystycznym naszych występów. Zespół odbył tournée po Austrii,

Robotnicy wiedeńscy otoczyli naszych studentów serdeczną atmosferą: wszędzie, gdzie BSE występował, napotykał falę szczerej sympatii. Podczas przedstawienia na historycznym Praterze na widowni znalazło się prawie 10 tysięcy osób. Pewnego dnia udaliśmy się na wycieczkę w okolice Wiednia. Poza miastem, na kamiennym tarasie, z którego rozciągał się malowniczy widok, spotkaliśmy wycieczkę jodlerów szwajcarskich. Szybko nawiązaliśmy z nimi rozmowę, i wspólnie postanowiliśmy przeprowadzić konkurs śpiewaczy”.

Zespół BSE wykonał najpiękniejsze niemieckie pieśni ludowe, a melodie ich szeroko rozbrzmiewały po dolinie. W niedługim czasie zebrał się duży krąg słuchaczy, składający się głównie z bogatych nierobów, którzy wysiedli ze swych luksusowych amerykańskich wozów. Słuchacze ci nie mieli dość słów pochwały dla „wspaniałej kultury śpiewaczej” i dla „zachwycających młodych ludzi”, oświadczyli, że tak wysoki poziom może być osiągnięty jedynie w Niemczech zachodnich.

Komiczny to był widok oglądać ich miny, gdy chór zaśpiewał marsz młodzieży radzieckiej Tulikowa a słuchacze zorientowali się w pomylce.

W ciągu ostatniego lata zespół wyjechał na parę tygodni do Niemiec zachodnich.

„A co robi obecnie BSE?” — pytam Stefana. „Bardzo proste — odpowiada. — Intensywnie przygotowujemy się do ogólnokrajowych eliminacji, na których w roku ubiegłym zdobyliśmy III miejsce. Dlaczego? Dlatego, że tym razem chcemy bezwzględnie pojechać do Warszawy na V Światowy Festiwal”.

Na zakończenie proszę Stefana, by zechciał opowiedzieć mi coś o przypuszczalnym programie festiwalowym.

Przygotowujemy wiele staroniemieckich pieśni ludowych, takich, jak „Heidenroeslein”, której słowa pisał Goethe. Poza tym chór uczy się już szeregu międzynarodowych pieśni bojowych jak „Marsylianka” i „Bandiera rossa”. Uwzględniono następnie radziecką pieśń ludową — burlaków znad Wołgi, chór kozaków z opery „Cichy Don”, „Pieśń Kom-somolu”, szereg pieśni partyzanckich ze Związku Radzieckiego, Francji i Włoch, oraz pieśni z okresu walki niemieckiej klasy robotniczej.

Grupa taneczna zademonstruje niemiecką sztukę ludową w postaci kilku świetnych suit, takich jak „Meklemburskie wesele chłopskie”, które tańce po części na nowo zostały odkryte przez członków zespołu.

Gdy kończymy naszą rozmowę, Stefan prosi mnie, abym przekazał moim polskim czytelnikom pewne życzenie BSE: „Będziemy się niezmiernie cieszyć, jeżeli już teraz — podczas przygotowań do V Światowego Festiwalu zdołamy nawiązać ścisły i stały kontakt z jednym z polskich zespołów akademickich”. I dodaje: „Chcemy zdobyć sobie w Warszawie serca młodzieży świata”.

Uwaga! Uwaga!

Prosimy się zatrzymać przy naszym kramie! Sprzedajemy najnowsze wiadomości ze studentckiego świata. Dziś jedyna okazja by dowiedzieć się:

- kto przyjedzie na Festiwal do Warszawy;
- co trzeba umieć by być doktorem filozofii w USA;
- o otwarciu jedynej w świecie atomowo-jądrowej uczelni;
- kto dostarcza do domu „call girls” w najlepszym wydaniu i o innych sensacjach tygodnia. A więc uwaga! Wszyscy ciekawi za chwilę będą obsłużeni.

„Call girls” na telefoniczne wezwanie

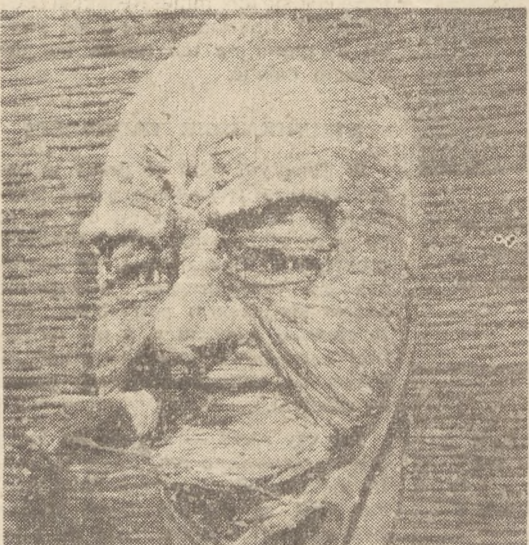
Pan Mark Langry prowadził nieźle prosperujący interes handlowy. Siedział w swym biurze przy telefonie. Raz po raz odzywał się dzwonek. Gentlemani telefonowali zamawiając do domu, na ten i ten dzień, i tę a tę godzinę, taki a taki towar.

Ostatnio Mr Langry stanął przed sądem. Czyżby nieuczciwie prowadził swój bussines? O nie! Tylko sprzedawał on towar szczególnego rodzaju. Na żądanie dostarczał bowiem „dam do towarzystwa” — tzw. „call girls”.

Sprawa ta groziła kompromitacją wielu wybitnym osobom płci obojga z tzw. high life’u.

Langry wspomniał mi, że postanowił nie ujawniać nazwisk i uratował (jak podaje prasa) opinię jednego milionera, jednego posła do parlamentu oraz wielu bogatych kobiet, które w ten sposób szukały „ucieczki przed nudą”.

Pewne nazwiska Langry jednak ujawnił. Były to nazwiska jego płatnych „pracownic”, wśród których jest kilka studentek w ten sposób zarabiających na życie.



Wszystko to działo się w ubiegłym miesiącu, w pewnym wielce cywilizowanym kraju rządzonego przez wielce cywilizowanego pana, którego oblicze zapewne bez trudu na zdjęciu rozpoznać.

Szkołka dla morderców



Radio Waszyngton podało, iż w najbliższym czasie nastąpić ma otwarcie „Szkoły technicznej nauk jądrowych” w miejscowości Argonne pod Chicago. Kurs owej szkoły przewiduje zapoznanie słuchaczy z użytkowaniem reaktorów do badań atomowych, naukę obchodzenia się z materiałami radioaktywnymi, obsługi urządzeń atomowych itp. Szkoła będzie pozostawać pod kierownictwem Komisji Energii Atomowej oraz Departamentu Stanu.

Resztę dopowiedzieć możemy sobie sami. Ze szkółki wyjdą kucharze, którzy przyrządzą potrawy z takich oto atomowych działek. Przy-



pominamy: nie tylko kij ma dwa końce. Bar-dziej nowoczesna broń — też.

Kocia muzyka dla adenauerowców

Gdy w auli zachodnio-berlińskiego uniwersytetu w Dahlem kilku wybitnych bonnńczyków usiłowało przemówić do studentów propagując remilitaryzację Niemiec i wojenne plany — studenci odpowiedzieli „kocią muzyką”, spędzili „drogich gości” z trybuny i przekształcili owo zebranie w wiec w obronie pokoju.



Zachodnio-niemieckie urzędy pośrednictwa pracy podają, że również w tym roku zabraknie pracy dla 1/3 młodzieży, która latem ukończy szkoły wszelkich typów i stopni.

Kto studiuje we Francji?

Francuski Związek Studentów przeprowadził ankietę, z której wynika, że na tysiąc słuchaczy wyższych uczelni zaledwie pięciu pochodzi z rodzin robotników rolnych.

Przeprowadzamy proste wyliczenie.

We Francji jest około 4 milionów robotników rolnych. Co z tego wynika? Że w normalnych warunkach co najmniej 190 studentów na tysiąc winno pochodzić z rodzin większych robotników.

Tanie dyplomy

Synkowie bogatych Jankeśów doszli do wniosku, że godność safesu z dolarami wzrasta, gdy mimo nieuctwa posiada się dyplom ukończenia uniwersytetu. Tym bardziej, że dostaje się go łatwo...

Afera z dyplomami stała się tak głośna, że nie można już było jej zatuszować. Zaczęli o tym mówić nawet przedstawiciele miejscowych władz w południowych stanach USA.

Oto co przedrukowały gazety amerykańskie z biuletynu agencji United Press:

„Jackson, Missisipi. Deputowani Arlen Madford i Descer Lee wystąpili z projektem ustawy, w którym oświadczyli, że uważają wydawanie przez uniwersytety dyplomów osobom nie umiejącym ani czytać, ani pisać za wielkie przestępstwo”.

Biedni ci synkowie bogatych tatusiów. By otrzymać dyplom doktora filozofii będą teraz musieli nauczyć się... czytać i pisać. (I. S.)

Jedyny grzech

W zachodnio-niemieckim czasopiśmie „Neuer Vorwärts” opowiedziano o tym, że do programów studiów w Hiszpanii wprowadzono jako

przedmiot obowiązkowy — katechizm. Ale nie zwyczajny...

Katechizm ten zawiera nie tylko mądrości religijne, lecz i tłumaczy za pomocą pytań i odpowiedzi sprawy dotyczące życia społecznego,

Oto np. krótkie pytanie:

— Ile jest na świecie nowych grzechów? — na co pada już nieco dłuższa odpowiedź:

„Na świecie jest trzystaście nowych ciężkich grzechów, a mianowicie — materializm, darwinizm, ateizm, panteizm, deizm, racjonalizm, protestantyzm, socjalizm, komunizm, syndykalizm, liberalizm, modernizm i masonizm”.

Autorów katechizmu trudno podejrzewać o ciężkie grzechy. Jedyny ich grzech — to... kretyzm.

(I. S.)

List z Włoch

Leszek Duleba, student Uniwersytetu Łódzkiego, jest w stałym kontakcie listowym z młodą Włoszką, studiującą na uniwersytecie w Bolonii. Mają oni dużo wspólnych zainteresowań, które są treścią ich korespondencji.

Oto fragmenty ostatniego listu włoskiej studentki Tony Montanini:

Drogi Przyjacielu!

...Mam nadzieję, że uda mi się wziąć udział w Festiwalu Młodzieży, który odbędzie się latem w Twojej Ojczyźnie, w Warszawie.

Pojechałabym z delegacją młodzieży uniwersytetu bolońskiego — wszyscy myślimy o tym z największą radością i entuzjazmem. Oby nam tylko zbytnio nie utrudniano wyjazdu!

A co słyhać u Ciebie, drogi Przyjacielu, czy też wezmiesz udział w warszawskim Festiwalu? Chciałabym spotkać tam Ciebie, poznać Twoich przyjaciół i pomówić o wielu sprawach, które nas wszystkich tak bardzo interesują.

Pozdrawiam Cię serdecznie

TONY MONTANINI

Festiwalowe nowinki

DANIA

W Kopenhadze odbyła się konferencja Duńskiej Rady Młodzieżowej, zrzeszającej wszystkie młodzieżowe i studenckie organizacje.

Przewodniczący tej Rady I. Christensen wypowiedział się przeciwko udziałowi w warszawskim Festiwalu i został naturalnie poparty przez przedstawicieli prawicowych organizacji.

Za udziałem w Festiwalu, obok komunistów — wypowiedział się Związek Młodzieży Socjalistycznej (DSU). Jednocześnie DSU zapowiedział wystąpienie z Rady na znak protestu przeciwko jej negatywnemu stanowisku w kwestii uczestniczenia w Festiwalu. W Danii rozwijają się przygotowania do wyjazdu na Festiwal. Między innymi organizacje młodzieżowe urządziły kurs języka polskiego.

Możemy więc mieć nadzieję, że z Duńczykami dogadamy się... po polsku.

NIGERIA

Grupa studentów nigeryjskich studiujących w NRD przygotowuje program artystyczny na V Festiwal. Ujrzymy więc w Warszawie pieśni i tańce zachodnio - afrykańskie,

Przed wszystkim dla koleżanek



Na koniec sensacyjna rodzynka.

Yves Montand wyraził zgodę na udział w Międzynarodowym Komitecie Przygotowującym Festiwalu.

Przy pewnej dozie optymizmu możemy mieć nadzieję, że wobec tego przyjedzie do Warszawy.

Przypominając sobie co się działo gdy bawił u nas Gerhard Philippe, możemy sobie wyobrazić co się w wypadku przybycia Montanda „podzieje”. Szczególnie, że przy Montandzie-Philippe to ryba (nie śpiewa),

„Miasteczko na dłoni”

„Po absolwentach spodziewaliśmy się pomocy nie tylko w pracy zawodowej. Sądziliśmy, że będą ani wzorem nowych ludzi, o nowym obliczu moralnym. Myśleliśmy, że absolwenci wyższych uczelni pokażą naszej młodzieży jak należy żyć w socjalistycznym społeczeństwie. Tymczasem i pod tym względem w wielu wypadkach zawiedliśmy się zupełnie”.

(z „Listu przedstawicieli społeczeństwa woj. olsztyńskiego”).

Tytuł książki Drdy pasuje chyba do Pułtuska. Jest to typowe powiatowe miasteczko — jak gąbka nasiąknięta starymi poglądami i nawykami. Wolno następują zmiany w Pułtusku. Treścią życia wielu mieszkańców są w dalszym ciągu plotki i intrygi, a kościół najwyższym autorytetem moralnym. Każda nowa myśl rodzi się z trudem, wymaga często „cearskiego cięcia”. Walka klasowa wciąż jest nieraz bardziej otwarta niż w innych środowiskach. Przejawy tej walki spotyka się prawie na każdym kroku. Nie ominęła ona również powiatowej apteki.

Z trzech istniejących w powiecie aptek, apteka w Pułtusku odgrywa bardzo poważną rolę. Obsługuje ona ponad połowę mieszkańców blisko 80-tysięcznego powiatu. Codziennie przewija się przez aptekę około 400 interesantów. W dniu targowe ilość kupujących podwaja się. Receptura wykonuje miesięcznie parę tysięcy recept. Mimo założenia punktów aptecznych w Pniewie i Świerczu, niewiele jest dni, w których personel może wykonać całą bieżącą pracę.

Niemniej ważny jest polityczny sens istnienia tej społecznej placówki. Powstała ona po zlikwidowaniu dwóch prywatnych aptek, których właścicielami byli dr Endraszka i mgr Pajda. Trzeba przyznać, że

wtedy powodziło im się zupełnie dobrze. Dość powiedzieć, że dr Endraszka w ciągu kilku lat dorobił się najładniejszego domu w mieście. Na upaństwowieniu stracili wiele wyciśniętych z chłopów ziółówek.

Powiadają, że z dawien dawna istniała między nimi rywalizacja. I zapewne, z chwilą organizacji społecznej apteki, której zostali pracownikami, każdy marzył o kierowniczym stanowisku w nowej placówce. Do pracy wprowadzili swoje rodziny. Dr Endraszka — żonę, a mgr Pajda — żonę, teściową i służącą.

WŁAŚCICIELE

Mianowanie mgr Ireny Flinikowskiej kierowniczką apteki, przekreśliło skryte marzenia byłych właścicieli. Wobec nowej sytuacji stworzyli oni wspólny front. Postanowili „wyryć” kierowniczkę za wszelką cenę. Była ona bowiem dla nich reprezentantem przemian, które odebrały im „świętą” własność. Postanowili więc — o ile się da — utrudniać pracę w nowoutworzonej placówce.

Byli właściciele usadowili się w uspołecznionej aptece jak na swoich starych śmieciach. Nie uznawali dyscypliny pracy, ignorowali kierowniczkę. W swojej kręcej robotcie stosowali stare, ograne chwyt.

Przed wszystkim plotka. Wykorzystywano chwilowy brak jakiegolku. „Zobaczcie — sły słuchy — apteka niedługo upadnie... już teraz leków nie ma... to nie to co dawniej”. Ale brakujące lekarstwa pojawiały się w ciągu następnych dni.

Podglądano i komentowano na „swoj” sposób każde posunięcie mgr Flinikowskiej. Fakt, że kierowniczka surowo przestrzegała dyscypliny

pracy otrzymał komentarz — „ludzi chce wykończyć, zamęcza ich robotą”.

Pewna część zdeorientowanych pracowników, zapatrzonych w gąsienicę gwiazd byłych właścicieli, dawała chętnie ucha plotkom. Wykorzystywano to skrupulatnie. Przecistawiano personel kierownictwa apteki. „Musimy bronić swych pracowniczych interesów — szeptało — musimy przeciwstawić się kierowniczce”. Preteksty się znalazły. Zachorowała kasjerka. Na trzymiesięczny okres mgr Flinikowska przyjęła zastępczynię. Po upływie tego czasu przeniosła ją do dawnej pracy i dała dawny, należny jej etat. „Samowolnie obniża płacę — głosiła plotka — kierowniczka utracą ludzi”.

Zarzuty konkretyzowano w anonimowych donosach i petycjach. Sprowadzano komisję i inspekcję, które niezmiennie stwierdzały fikcyjność zarzutów i plotek.



rys. Jerzy Cwiertnia

W tej atmosferze słabła oczywiście wydajność pracy, rozluźniała się dyscyplina. Ten węzeł trzeba było przeciąć i to radykalnie. Mgr Flinikowska zwróciła się do Wojewódzkiej Centrali Aptek Społecznych w Ciechanowie. Zapadała decyzja o zwolnieniu rodziny mgr Pajdy. Znowu wybuchła istna burza! Wzmogły się plotki i oszczerstwa. Odejdzie więc rodzina mgr Pajdy nie rozwiązało całkowicie sytuacji.

KONIECZNOŚĆ I MARZENIA

Było tylko jedno wyjście: apteka musi otrzymać nowego, pełnego sił pracownika, który pomoże w służebnej walce. Było to bowiem zadanie przede wszystkim natury politycznej. Specjalista znalazł się. Był nim zetempowiec Leon Blicharz, absolwent wydziału farmacji warszawskiej Akademii Medycznej. W grudniu 1953 roku objął on wolny etat po mgr. Pajdzie, który przeszedł do pracy w szpitalu.

Wszyscy byli głęboko przekonani, że młody specjalista wychowany na ludowej uczelni, rdzenny pułtuszczyzna, cały swój wysiłek odda służebnej sprawie: pomoże w likwidacji szkodliwej działalności dr Endraski i anonimów, będzie walczył o to, aby apteka jak najlepiej wykonywała swe zadania, jak najlepiej spieszyła z pomocą chorym.

O wiele większe nadzieje miał Zarząd Powiatowy ZMP. Myślano, że młody absolwent nie tylko stanie się politycznym kierownikiem apteki, ale pomoże Zarządowi Powiatowemu w jego trudnej pracy, że będzie walczył o te prawdy, którymi żył pięć lat w murach uczelni i w organizacji zetempowskiej.

NADZIEJE BYŁY PŁONNE

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Z każdym dniem pracy mgr Blicharza przyskły jak przysłowiowe bańki mydlane wszyst-

kie nadzieje związane z jego przybyciem do apteki. Mgr Blicharz poza słabą pracą zawodową, nie zrobił nic ani dla apteki, ani swojego rodzinnego miasta. W walce klasowej, załamującej się w różnych formach w aptece, przeszedł na stronę byłych właścicieli.

Początkowo trzymał się naturalnie na uboczu, obawiając się, że przegrana jednej ze stron może odbić się ujemnie na wysokości jego uposażenia. Z czasem zdecydowanie stanął po stronie byłego właściciela. Może liczył, że w tych rozgrywkach sam zostanie kierownikiem, że jemu przypadnie w udziale ładne mieszkanie mgr Flinikowskiej? — I nie jest w tym prawdy — do końca nie wiadomo. Faktem jest, że mgr Blicharz nie tylko nie przynosił pożytku aptece, ale jej szkodził. I to różnymi metodami. Wykorzystywał do walki (oczywiście pod pozorami obrony interesów personelu) nawet koło zetempowskie, którego został przewodniczącym i stanowisko męża zaufania grupy związkowej.

W dalszym ciągu rodziły się plotki, w dalszym ciągu wznoszono mur między kierowniczką a personelem, szermowano starymi zarzutami. Mgr Blicharz nie tylko nie starał się rozładować złych nastrojów, ale wręcz je podsycał.

W dalszym ciągu praca słabła, niektóre zetempowki coraz niechętniej przyjmowały polecenia kierowniczki, w dalszym ciągu niebezpieczeństwo dezorganizacji wisiało nad apteką. A mgr Blicharz pogłębiał te nastroje. Nie dopuszczał, by na zebraniach zetempowskich dyskutowano o złej atmosferze w aptece. Za to po kątach powtarzał głośnie plotki i zarzuty przeciw kierowniczce.

Wypadki następowały szybko jeden po drugim. 29 listopada 1954 roku, w dwa dni po naradzie produkcyjnej, na której mgr Flinikowska skrytykowała bumelantów i zażądała kategorycznie by skończono z plotkami i intrygami, dr Endraszka i mgr Blicharz urządzili awanturę na cały Pułtusk. „Ja tu zrobię porządek — dał się Blicharz — ja pani pokażę! Czy to Oświęcim, że mówić nie wolno?”

3 grudnia przyjechał inspektor z Centrali Aptek Społecznych. „Na panią jest donos” — oświadczył krótko kierowniczce. Sprawdził zarzuty, Były bezpodstawne.

Autor anonimu nie ujawnił się. I tak wszyscy wiedzieli kto mógł nim być. Wiedział i mgr Blicharz, lecz milczał. Był przecież sojusznikiem dr Endraski.

Atmosfera jednak nie rozładowała się. Przeciwnie, wrzenia się wzmożyło. Doprowadzona do ostateczności kierowniczka zwołała 28 lutego naradę pracowników. Byli również obecni przedstawiciele Centrali z Ciechanowa, sekretarz Komitetu Miejskiego Partii i przewodniczący Zarządu Powiatowego ZMP. Powiedziano sobie wtedy prawdę w oczy. Deklaracje dr Endraski i mgr Blicharza, którzy szermowali argumentami o wyższości ludzi itp. oraz przygotowane pod dyktando Blicharza wystąpienia niektórych pracowników odparła większość personelu. Okazało się również w dyskusji, że przeciętna wydajność pracy mgr Blicharza jest o wiele niższa od wydajności innych pracowników. Postanowiono wtedy zwolnić z pracy żonę dr Endraski, a dr Endrascę, mgr Blicharzowi i v-przewodniczącą zarządu koła udzielić upomnienia. Przewodniczącą ZP wygarnął Blicharzowi prosto:

— Czy zdajecie sobie sprawę z tego co robicieście w aptece? Wiecie chyba kto to jest dr Endraszka! A wy zamiast oświeścić i jako przewodniczący koła walczyć o dobrą atmosferę w aptece, pomagaliście wrogowi. Czy tak was uczono na uczelni?

REFLEKSJE

Kto to jest Leon Blicharz? To głębiej polityczny Człowiek wy.

(Dokończenie na str. 7)



Nieustający konkurs pod redakcją dr A. Nowickiego

Zadanie 30

Dochody Biskupów

W posiadanych przeze mnie „Almanachach Royal” z roku 1788 — z roku poprzedzającego wybuch francuskiej rewolucji burżuazyjnej —

ALMANACH ROYAL,

ANNÉE BISSEXTILE

M. DCC. LXXXVIII.

PRÉSENTE

A SA MAJESTÉ

Pour la première fois en 1699,

PAR LAURENT D'HOURY, ÉDITEUR.



MISE EN ORDRE ET PUBLIE
PAR DEBURE, GENDRE DE FEU M. D'HOURY.
En l'imprimerie de la Vierge D'HOURY & DEBURE, Impri-
meurs, Libraires de Monsieur le Duc d'ORLÉANS, rue
Maufrault, près celle des Deux Portes.

AVEC APPROBATION ET PRIVILEGE DU ROI.

38 stron druku zajmuje spis francuskich biskupów i opatów. Obok nazwisk podane są ich dochody. Roczny dochód średnio zamożnego rzemieślnika wynosił w tym czasie 25 liwów rocznie. Ile wynosił roczny dochód biskupa? Czy sto razy więcej? Skądże. Tysiąc i przeszło tysiąc razy więcej. Oficjalny dochód biskupa Chartres wynosił 25.000 liwów rocznie, biskupa Orléanu — 50.000 liwów, biskupa Bayeux — 90.000 liwów, arcybiskupa Rouen — 100.000 liwów, arcybiskupa Alby — 120.000 liwów, arcybiskupa Narbonne — 160.000 liwów, arcybiskupa Paryża — 200.000 liwów, arcybiskupa Cambrai — 200.000 liwów, arcybiskupa Strassburga — 400.000 liwów i tak dalej. Wymienione arcybiskupstwo strassburskie znajdowało się w rękach arcybiskupiej dynastii książąt de Rohan od

roku 1704 nieprzerwanie aż do wybuchu rewolucji. Jak łatwo obliczyć w ciągu 85 lat „arcybiskupowania” wyciągnęli z chłopów 34.000.000 liwów.

Takie były dane oficjalne. W rzeczywistości dochody ich były trzykrotnie wyższe. Arcybiskupa de Rochana spotykamy również na liście opatów, uzupełniał sobie bowiem dochody z arcybiskupstwa dochodami z kilku opactw. Arcybiskup ten uważał, że za pieniądze może sobie kupić każdą kobietę — na przykład królową Marię Antoninę, której a conto posłał historyczny naszyjnik.

Zadanie 31

„Przedziwo Arachny”

„Cale przyrodonoznawstwo buduje się na cichym przypuszczeniu, że w świecie nie ma indywidualności. Indywidualność jest to bowiem istota, która do niczego innego sprowadzić się nie da. Poznajemy indywiduum jedynie po tym, czym się ono od wszystkiego różni, a nie po tym, co ma z nim wspólnego... Niwelowanie indywiduów jest warunkiem

Zadanie 32.

Galileusz w więzieniu Świętej Inkwizycji

Reprodukujemy obraz polskiego artysty — malarza, przedstawiający Galileusza w więzieniu świętej inkwizycji. Galileusz broni syste-

Dochoły biskupów włoskich podawane były jeszcze do niedawna w roczniku papieskim. Mam na przykład „Annuaire Pontifical Catholique” z roku 1911, z którego można się dowiedzieć, że oficjalny dochód biskupa Urbino wynosił 12.276 franków, arcybiskupa Bolonii — 29.964 franków, arcybiskupa Turynu — 67.697 franków, arcybiskupa Neapolu — 63.920 franków, arcybiskupa Mediolanu — 83.977 franków i tak dalej.

Pytanie brzmi: jakie były dochody — w okresie międzywojennym — biskupa Sapiehy i arcybiskupa Hlonda?

istnienia nauk... Wylądowanie sztuka wolną jest od pogwałcenia indywidualności”. Tak pisał — w roku 1909 — Michał Sobieski w „Przedziwo Arachny”. Natchnieniem tej koncepcji było dzieło „Die Grenzen der naturwissenschaftlichen Begriffsbildung” (jakiego autora?). Czy potraficie wykazać niesłuszność tej koncepcji?

mu kopernikańskiego, a kardynał Bellarmin grozi mu torturami.

Zadanie: podać imię i nazwisko twórcy obrazu.



Zadanie 33

Dwa pytania Diderota

W dziele „O interpretacji natury” zadał Diderot m. in. dwa następujące pytania:

1. Czy woda naelektryzowana rozpuszcza łatwiej cukier niż woda zwykła?

2. Czy elektryczność wpływa na tworzenie się kryształów?

Zadanie 34

Trzy kwadraty

73 x 73 = 9555
64 x 64 = 8664
32 x 32 = 4522

Jakie cyfry należy postawić pod 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, i 9, żeby powyższe równania były prawdziwe?

Zadanie 35

Zadanie dla rzeźbiarzy i architektów

Malarz włoski, Federico Zuccari, zbudował sobie w Rzymie pałac, do którego ludzie bali się wchodzić.

Odpowiedzi

ZADANIE NR 8

W związku z sentencją wyrażoną przez Maurois, mam pewne pytanie: A z czego tworzy się umysł dzievic nigdy nie kochanych?

AS.

Jako „pleć słaba” całkowicie zgadzam się z ideałem kobiety stworzonym przez „jednego z zakochanych” z UW. Odwaga u każdego człowieka bez względu na płeć stanowi jedną z najbardziej pięknych cech charakteru. Oczywiście tylko wtedy posiada ona trwałą wartość, jeżeli jest naturalna, a nie wypływa z chęci podobania się lub zamaskowania innych ujemnych cech. Jednocześnie odwaga musi występować w parze z delikatnością, uczuciowością, serdecznością i tą miękkością kobiecą, która w wielu wypadkach podoba się mężczyznom. Twierdzenie, że odwaga kobiety może zabrać pole do popisu swemu towarzyszkowi jest oczywiście bzdura. Ten, który tak uważa, nie wart jest kobiety odważnej, gdyż i tak nie potrafi jej docenić.

ANKA R.

P. S. — do redakcji konkursu. Proponowałabym podanie pytania w konkursie — „tylko dla koleżanek” dotyczącego ideału mężczyzny. Z pewnością temat ten zainteresuje wiele „młodych dam”.

TRAKTUJEMY TO PYTANIE JAKO ZADANIE NR 35. — RED.

ZADANIE NR 24

Zgadzam się z zupełnością ze zdaniem Maupassanta z cytowanej nowelki. Uważam, że największą zaletą kobiety jest uroda lub wrodzony wdzięk, a mężczyzny — mądrość lub siła woli. Powiem więcej — są to cechy, które stanowią o szczęściu w życiu „obu stron”. Jeżeli cechy te zostaną przez los „przeziębione” odwrotnie — to ludzie się męczą, iamia — i wreszcie sztucznie tworzą sobie owe „zalety życiowe” — lub wyrastają na dziwaków.

A teraz w związku z cytowanym zdaniem autora „Zbrodni Sylwestra Bonnard” — pozwólcie sobie przytoczyć dwa cytaty z tomu „Emancypantek” — stanowię c. d. myśli Maupassanta:

1. „...Piękność słusznie nazywają paszportem, który jej właścicielowi czy właścicielce wyrybia stosunki między ludźmi”.

2. „...Świat hojnie wypłaca pięknym zasług, wiele im wybacza i bardzo często kocha ich nawet wówczas, gdy tego nie są warte”.

Tak sądził Bolesław Prus.

Moje zdanie — już poznaliście.

Przesyłam Redakcji pozdrowienia i zapewniam, że dział „Kto potrafi?” bardzo mi, czytelnikowi POPROSTU, podoba.

„ANUSIA BORZOBOHATA”
stud. wydz. nauk przyrodn.
Wrocław

ZADANIE NR 23

Przytoczona myśl Pawłowa wymierzona jest przeciw wszelkiemu rodzajowi odmiannemu idealizmowi, który właśnie polega na tym, że zamiast wyjaśnić przyrodę za pomocą jej samej, usiłuje wtargnąć do zrozumienia „Zjawisk przyrody” interpretację i pojęcia” pochodzące nie z badania faktów, ale z mistyfikacji i nieuzasadnionych scholastycznych uogólnień. Myśl wskazuje na jedynie słuszną drogę w badaniach naukowych — bowiem dodawanie do faktów przyrodniczych interpretacji mających źródło w przyjmowaniu istnienia „czegoś” poza przyrodą, może jedynie zaciemniać sprawę i zahamować rozwiązanie problemu naukowego.

Świetnym przykładem słuszności tej prawdy są zagadnienia poruszane przez prof. W. Zonną w artykule pt. „O ucieczce galaktyk”, zamieszczonym w tym samym numerze POPROSTU co i zadanie nr 23.

Utrzymująca się w „granicach praw mechaniki” hipoteza Freundliha dotycząca zjawiska nazwanego „ucieczką galaktyk” ukazuje konkretne możliwości rozwiązania problemu na podstawie badań dostępczego materiału obserwacyjnego („pole o bardzo dużej „zawartości” energii promienistej”) oraz na podstawie trzymających się materiału faktycznego rozważań teoretycznych.

Natomiast zwalczana przez Pawłowa metoda dopuszczająca przyjęcie „najzupełniej dowolnego założenia, że masa ciał stanowiących wszechświat jest skończona” oraz dopuszczająca przyjęcie „zbyt ryzykownego uogólnienia” (bo nie oparte go na dostatecznym materiale faktycznym), że wszystkie galaktyki „uciekają od nas” — nie tylko, że nie otworzyła drogi dla dalszych konkretnych badań, ale w dodatku w obrębie ważnego zagadnienia astronomicznego umożliwiła spokojne kontemplowanie głębi Starożytności.

Wrocław

WUWAG! LISTA NAGRODZONYCH W MIESIĄCU MARCU UKAŻE SIĘ W NASTĘPNYM NUMERZE.

W sanatorium

JERZY STEFAN STAWIŃSKI

Sanatorium odległe było od Łodzi o godzinę jazdy podmiejskim tramwajem i parę minut cnybotania sanitanką od ostatniego przystanku. Zajmowało obszar suchy, pokryty swierkowo-sosnowym lasem i łagodnie pofalowany. Przez ciemną zielen przeswitywały żółte puda pawonów. Pierwsze dwa starsze, przedwójne, w znacznej części drewniane, ozdobne o wymyśle początku lat trzydziestych, leżały na uboczu; drugie dwa nowsze, długie, monotonne puda rozłożyły się wiekiem zygawką, w którym części mieszkalne przepieciono piętrowymi werandami.

Opuszczywszy duszne pudło sanitarki, znalazła się Katarzyna w pobliżu głównej bramy na małym placu, a raczej skrzyżowaniu asfaltowych ulic. Z ciekawości rozejrzała się dokoła. Las kołysał się w sioncu i pachniał, głośnik wyzywał się w modnym tangu, a uliczkami spieszyli nieliczni przechodnie o zwykłym wyglądem i w miejskich ubraniach. Był to obraz tak barwny, wesół a pocieszający różny od szpitalnego, że Katarzynie zrobiło się leż na sercu. Nic tu nie świadczyło o chorobie, wydawało się, że ci ludzie przechodzili na zwykły odpoczynek. Wrażenie to potwierdziło parę męskich spojrzeń, lustrujących ją od stóp do czubka głowy; wytrzymała je dzielnie, bo nowy kostium napawał pewnością dobrego wyglądu.

W biurze okazało się, że uprzedzona o jej przyjeździe Basia zadbała, by umieszczono je w jednym pokoju. Katarzyna nie ucieszyła się z tego szczerze. Po załatwieniu formalności ruszyła do pawilonu drugiego, na oddział młodych kobiet. Pawilon ten, jeden z dwu starszych, ukazał jej się nagie na polanie, w kształcie litery „U” o drewnianych ramionach, gdzie urządzono werandy. Właśnie zabrzniał w głośnikach krakowski hejnał, który był też sygnałem na koniec porannej, „głośnie” werandy i poczęto tłumnie opuszczać łóżka. Po chwili, poskramiając jakieś instynktowne zahamowanie, Katarzyna znalazła się w objęciach Basi.

— Czy tu robią cuda? — zawołała ze sztuczną swobodą. — Przecież ty wspaniale wyglądasz!

Rzeczywiście Basia poprawiła się i lekko zbrazowała.

— Las, moja droga — zaśmiała się. — Las, powietrze i odżywianie! Zresztą... tam w środku wcale tak nadzwyczajnie ze mną nie jest.

Po chwili prowadziła Katarzynę korytarzem, rozjaśnionym przez blask licznych, oszklonych drzwi. Zgłoszyły one do dyżurnej siostry. Pokój był czysty i biały; stało tam sześć łóżek, po trzy z każdej strony i było o wiele przestronniej, niż w szpitalu. Inne drzwi, również oszklone, teraz rozwarte na oścież, prowadziły na kamienny taras. Choć do pokoju nie docierało słońce, wszystko tu było jasne, słoneczne i złoczone jakby z naturą odległą tylko o krok. Rzeczywistość sanatorijską ukazała się Katarzynie w tak pięknych barwach, że wybuchnęła entuzjazmem:

— Tu jest ślicznie! Nigdy się nie spodziewałam!... Pomyśl o szpitalu. Basia uśmiechnęła się sceptycznie.

— No tak, w porównaniu ze szpitalem tu jest raj. Czy znasz tę starą bajkę o rabinie i kozie? Po szpitalu tu jest bardzo przyjemnie... do czasu.

Do pokoju wkroczyły cztery współlokatorki. Zrazu wydały się Katarzynie podobne do siebie w jednakowych szarych szlafrokach.

— Poznajcie się — zapoznawała Basia — Alina Siedlecka z Warszawy, Zosia Bandzioch z Zakrzewia, Sabina Siwek z Gdyni i Anna Szware z Łodzi. A to moja przyjaciółka, Kasia Bytoń.

— Cześć! — powiedziała Alina ściskając energicznie jej rękę. — Basia mówiła mi o tobie dużo dobrego!

Pucłowata Zosia Bandzioch dotknęła jej rękę ze zmieszaniem półuśmiechem.

— Koleżanka z Łodzi? — zapytała Sabina przyglądając jej się natrętnie. — Będzie blisko do domu.

Anna Szware spozierała na Katarzynę z surową powagą. Wyglądała na najstarszą z nich wszystkich, twarz jej była szara i zniszczona. Mogła mieć równie dobrze dwadzieścia pięć co trzydzieści pięć lat.

— Ciężko chora? — zapytała z akcentem, dobrze znanym Katarzynie z fabryki. — Naciek, jama, prosówka?

— Anna daje fant — ucieszyła się Alina. — U nas nie wolno rozmawiać o chorobie. Dawaj Aniu, dawaj...

— Mówiłam, że się nie bawię w te wasze głupie gry — odrzekła tamta nie rozczerwając się. — Ona jest nowa, trzeba się zapytać.

— Zostawcie Annę — wtrąciła Sabina. — Zawsze jest zła na cały świat.

— Za to ty jesteś dla każdego dobra — mruknęła Anna. — Żeby tylko chodził w spodniach.

I odeszła do swego łóżka. Sabina stuknęła się w czoło i zrobiła oko do Katarzyny. Była jasna blondyn-

ką. Starannie ułożone włosy lekko falowały; z brwi pozostały tylko równe i cienkie linijki. Spod cynobrowego lakieru na paznokciach czerniały miejscami pasemka brudu. Twarz jej, po wielu zapewne zabiegach, nabrała wyrazu kosmetycznej bezmyślności.

Wkrótce poczęło się szykować do obiadu; monotonicznie szlafroków zastąpiły różnobarwne stroje. Sabina przestała krzykliwą miejską elegantką, Zosia włożyła sukienkę, zdradzającą nieporadność wiejskiej krawcowej, Anna Szware wciągnęła sweter o wzorze rozpowszechnionym w tysiącach sztuk po całej Łodzi, sukienkę Aliny cechowała prostota dobrego kroju.

— Znowu masz brudne ręce, Zosiu! — zawołała Alina. — Biegnij szybko do umywalni, zaczekamy na ciebie!

Milcząca Zosia splonęła ciemnym rumieńcem, spojrziała na swe ręce z miną winowajcy i posłusznie ruszyła korytarzem.

— Musimy ją wychować — tłumaczyła Alina. — Niedawno jeszcze... nie spuszczała wody.

— W ogóle śmiesz się — dodała Sabina z obrzydzeniem, marszcząc białe nosek.

— Ale zrobiła ogromne postępy! — uśmiechnęła się Alina. — Musicie się nią opiekować, jak wyjadę...

— Już niedługo wyjeżdżasz? — zapytała Katarzyna.

— Za tydzień — odpierała z dumą Alina. — Właściwie już teraz marnuję czas i niepotrzebnie zajmuję miejsce.

Powróciła Zosia i wszystkie ruszyły do jadalni. Była to duża, jasna sala, służąca tylko mieszkańcom pawilonu. Rozstawiono tam niewielkie czterookobowe stoliki. Obrusy ślniły bielą, ożywione bukietai różnobarwnych astrów. Było to jeszcze jedno radosne wrażenie.

Zasiadły we cztery z Basią, Aliną i Zosią. Sabina ktoś zawołał z głębi sali; Anna Szware zasiadła apatycznie przy pierwszym lepszym stole. Katarzyna stwierdziła z satysfakcją, że jadalnia przypomina restaurację lub stołówkę, gdzie karmi się gromadę młodych, często roześmianych dziewcząt. Podniesiona na duchu tą myślą szybko i mechanicznie pochłonięła swą pomidorową zupę i jako pierwsza podniosła głowę z nad talerza.

— Zajądasz tak szybko, jakbyś się spieszyła na pociąg — zauważyła z uśmiechem Basia. — Pamiętaj, że posiłki są tutaj rozrywką.

— Chodzi tylko o to, żeby móc to wszystko pochłoniąć — dodała żartobliwie Alina. — Na drugie śniadanie podają dla pobudzenia apetytu śledzie, choć nie wszystkim to potrzebne. Zosiu, ciszej!

Zosia dołała sobie z wazy zupy po wrebry i atakowała ją hałaśliwie i z nieugiętą systematycznością.

— Dobrze mi tu było — westchnęła Alina, polykając ostatnią łyżeczkę budyniu. — Kto mi w domu da tak jeść? Jestem sama.

Mówiła to z uśmiechem, który zdradzał tęsknotę za tym zwykłym życiem, choćby bez obfitego pożywienia. Nie była ładna; niskie czoło spłaszczone jej twarz; miała brzydką, tłustą cerę, zbyt szerokie usta i nierówne zęby. Ciemne włosy, krótko obcięte i gładkie, przylegały ściśle, jak malowane. Trochę wdzięku można by znaleźć w uśmiechu. Mogła mieć około dwudziestu pięciu lat.

— Może jeszcze zostaniesz? — zaśmiała się Katarzyna.

— Gdzie tam! — oburzyła się Alina. — Minęły moje trzy miesiące, amen. Tu można wytrzymać dlatego tylko, że się zna termin zwolnienia. Wiesz, kartki z kalendarza, czerwone kreski... Na mnie czeka robota.

— A co ty robisz? — zapytała Katarzyna.

— Ee... Nic specjalnego. Stawiam na nogi pewne ministerstwo.

Do tego typu humoru Katarzyna nie była przyzwyczajona. Spojrzała na Alinę ze zdumieniem.

— Co? Ministerstwo?

— Tak... — odpierała poważnie Alina. — Nasz resort jest teraz w stadium daleko posuniętej reorganizacji. Tej, która przyszła po wielkiej, pamiętnej reorganizacji ze stycznia roku bieżącego, a poprzedza reorganizację monstrze z lutego przyszłego roku. Właśnie wczoraj otrzymałam wyczerpujący list. Rady sobie beze mnie dać nie mogą; przecież trzeba zmienić wszystkie praktyki. Mam w biurku obdłki starych od wyzwolenia: jest to nasza ministerialna historia rewolucji. Produkcja pieczętów pulsuje w rytm zmian ustrojowych.

Katarzyna nie wiedziała co o tym myśleć, ale rozbawiony wzrok Basi kazał jej przypuszczać, że Alina żartuje.

— Wytrzymaj usta serwetką, Zosiu — powiedziała jeszcze Alina i wstała od stołu. Pozostawało pół godziny do cichej werandy. Basię ktoś zatrzymał na korytarzu i Katarzyna powróciła do pokoju sama. Zastiała tam Annę Szware; ta z ogromną wprawą operowała drutami.

— A ty jesteś kto? — zapytała obcesowo.

— Jestem tkaczka — odpierała Katarzyna. — Pracuję w „dwudziestce”.

— Aha — potwierdziła tamta. — Myślałam, żeś panienka. A „dwudziestkę” znam. To Brudermanów.

— Była Brudermanów — odpierała ostro Katarzyna. — Teraz jest nasza.

— Wasza? — zaśmiała się Anna. — A udział ci wypłaca, jak odejdziesz?

Katarzyna wzruszyła ramionami. Nie myślała słuchać starych i głupich dowcipów.

— A ty kim jesteś? — zapytała sucho.

— Niczym — spoważniała tamta. — Prochem. Tak mnie i uważaj.

— Kto cię tak uważa?

— Wszystkie. Nawet ta twoja Basia. Nie patrz, że człowiek chory.

— Chory? — zdziwiła się Katarzyna. — Przecież ty każdy chory.

— Eee tam! Głupie gadanie — zniecierpliwiała się Anna i druty jej poczęły migać z jeszcze większą szybkością. — Jakie one tam chore! Ja tu jestem chora. Niedługo mnie diabli wezmą. Krótki żal. I tak psie życie. A ty uważaj, bo cię też zagryzą te przyjadłki.

— Długo ty jesteś? — zapytała Katarzyna szybko.

— Pół roku — westchnęła tamta. — Ale teraz chcę mnie wyrzucić na ulicę. Tacy to lekarze. A streptomycyny nie można się w ogóle doprosić. Trzymajcie dla swoich.

— Podano kawę, chleb, masło i ser. Tym razem Alina nie żartowała. — Zupełnie nie rozumiem, czego chce ode mnie ten Rakowski! — zawołała z oburzeniem. — Jestem zdrowa!

— No, miesiąc mogłabyś, jeszcze pobyć dla pewności — wtrąciła Basia. — On jest ostrożny...

— Ani mi się śni siedzieć choć dzień dłużej — porwała się Alina. — To jest aspołeczne zajmować tu miejsce! Ja mam cierpieć, że ginekolog zabrał się do leczenia płuc?

— Ginekolog? — przeraziła się Katarzyna.

— Alina jest niesprawiedliwa — wyjaśniła Basia. — Doktor był rzeczywiście ginekologiem, ale zmienił specjalność. Brakowało fizjologów, a gruźlica zabierała z Łodzi najwięcej ofiar. Chyba to dobrze o nim świadczy?

— Ale w środku został ginekologiem! — upierała się Alina. Każdy fizjolog zwolniłby mnie natychmiast! Ja pójdę do dyrektora!

— Przecież masz jeszcze tydzień — łagodziła Basia. — Nie denerwuj się, wszystko się wyjaśni.

— Ale Alina odrzuciła napoczętą bułkę, odsunęła kubek, aż zachlupotała kawa i zawołała:

— Zosiu, pij ciszej, bo nie wiem co ci zrobić! To jest sabotaż, takie przetrzymywanie zdrowego człowieka w sanatorium! Podwójny sabotaż! Jutro rano dzwonię do ministerstwa! Już on wróci do tych swoich macie, nie bój się!

I porwała się do stolika:

— Chodź Zośka, idziemy czytać Robinsona!

Zosia wstała posłusznie wypychając do ust resztkę bułki. Katarzyna przypatrywała się im z osłupieniem.

— Alina postanowiła przyzwyczaić Zosię do czytania książek — wyjaśniła Basia. — Zosia skończyła tylko trzy oddziały. Zaczynają od przygód.

Wstały od stołu. Pozostawało im dwie godziny do kolacji.

— Zacznieś cenić częste posiłki — uśmiechnęła się Basia widząc przerażenie Katarzyny, która z trudnością pokonała bułkę. — Chodź, pokażę ci las.

Dotąd nie było okazji do spokojnej rozmowy z Basią, ale Katarzyna bynajmniej o tym nie marzyła. Teraz ruszyła posłusznie zamysłona i nieco stropiona. Minęły klomb. Wierzchołki drzew ślniły w blasku zachodzącego słońca. Weszły w las. Była tam cała sieć spacerowych ścieżek, prostych i krętych. Wkrótce dotarły do szerokiej drogi leśnej, równoległej do pawilonów. Siedziało tam na ławkach i spacerowało mnóstwo osób płci obojga, w wiekowych grupach i parami.

— To nasza Piotrkowska — wyjaśniła Basia. — Każdego tu spotkasz. Chodź prędzej, bo widzę pewnego młodzieńca, który zanadto mnie swymi zalotami.

Pobiegły boczną ścieżką w głąb lasu. Było to śmieszne, ale wzmianka o powodzeniu Basi ucieszyła Katarzynę.

— Dlaczego oni trzymają w sanatorium zdrową Alinę, a chcą wyrzucić chorą Annę? — zapytała.

— Wcale nie wiadomo, czy Alina nie jest bardziej chora od Anny — odpierała Basia. — Alina przypomina mi ciebie — okresu szpitalnego. Po prostu chce jak najszybciej powrócić do pracy. Czuję się rzeczywiście dobrze, reszty dokonuję koncentracją woli. Jeżeli w poprzek jej planów stają kaszel czy drobna gorączka, raczej je ukryje przed lekarzem, niż zrezygnuje z wyjazdu. Niestety, teraz zatrzymał

— Wyrzucił usta serwetką, Zosiu — powiedziała jeszcze Alina i wstała od stołu. Pozostawało pół godziny do cichej werandy. Basię ktoś zatrzymał na korytarzu i Katarzyna powróciła do pokoju sama. Zastiała tam Annę Szware; ta z ogromną wprawą operowała drutami.

— A ty jesteś kto? — zapytała obcesowo.

— Jestem tkaczka — odpierała Katarzyna. — Pracuję w „dwudziestce”.

— Aha — potwierdziła tamta. — Myślałam, żeś panienka. A „dwudziestkę” znam. To Brudermanów.

— Była Brudermanów — odpierała ostro Katarzyna. — Teraz jest nasza.

— Wasza? — zaśmiała się Anna. — A udział ci wypłaca, jak odejdziesz?

Katarzyna wzruszyła ramionami. Nie myślała słuchać starych i głupich dowcipów.

— A ty kim jesteś? — zapytała sucho.

— Niczym — spoważniała tamta.

— Prochem. Tak mnie i uważaj.

— Kto cię tak uważa?

— Wszystkie. Nawet ta twoja Basia.

— Nie patrz, że człowiek chory.

— Chory? — zdziwiła się Katarzyna.

— Przecież ty każdy chory.

— Eee tam! Głupie gadanie — zniecierpliwiała się Anna i druty jej poczęły migać z jeszcze większą szybkością.

— Jakie one tam chore! Ja tu jestem chora. Niedługo mnie diabli wezmą. Krótki żal. I tak psie życie. A ty uważaj, bo cię też zagryzą te przyjadłki.

— Długo ty jesteś? — zapytała Katarzyna szybko.

— Pół roku — westchnęła tamta.

— Ale teraz chcę mnie wyrzucić na ulicę. Tacy to lekarze. A streptomycyny nie można się w ogóle doprosić. Trzymajcie dla swoich.

— Podano kawę, chleb, masło i ser.

Tym razem Alina nie żartowała.

— Zupełnie nie rozumiem, czego chce ode mnie ten Rakowski!

— Zawołała z oburzeniem. — Jestem zdrowa!

— No, miesiąc mogłabyś, jeszcze pobyć dla pewności — wtrąciła Basia.

— On jest ostrożny...

— Ani mi się śni siedzieć choć dzień dłużej — porwała się Alina.

— To jest aspołeczne zajmować tu miejsce! Ja mam cierpieć, że ginekolog zabrał się do leczenia płuc?

— Ginekolog? — przeraziła się Katarzyna.

— Alina jest niesprawiedliwa — wyjaśniła Basia.

— Doktor był rzeczywiście ginekologiem, ale zmienił specjalność.

— Brakowało fizjologów, a gruźlica zabierała z Łodzi najwięcej ofiar.

— Chyba to dobrze o nim świadczy?

— Ale w środku został ginekologiem!

— Upierała się Alina.

— Każdy fizjolog zwolniłby mnie natychmiast!

— Ja pójdę do dyrektora!

— Przecież masz jeszcze tydzień — łagodziła Basia.

— Nie denerwuj się, wszystko się wyjaśni.

— Ale Alina odrzuciła napoczętą bułkę, odsunęła kubek, aż zachlupotała kawa i zawołała:

— Zosiu, pij ciszej, bo nie wiem co ci zrobić!

— To jest sabotaż, takie przetrzymywanie zdrowego człowieka w sanatorium!

— Podwójny sabotaż! Jutro rano dzwonię do ministerstwa!

— Już on wróci do tych swoich macie, nie bój się!

I porwała się do stolika:

— Chodź Zośka, idziemy czytać Robinsona!

Zosia wstała posłusznie wypychając do ust resztkę bułki.

Katarzyna przypatrywała się im z osłupieniem.

— Alina postanowiła przyzwyczaić Zosię do czytania książek — wyjaśniła Basia.

— Zosia skończyła tylko trzy oddziały. Zaczynają od przygód.

Wstały od stołu. Pozostawało im dwie godziny do kolacji.

— Zacznieś cenić częste posiłki — uśmiechnęła się Basia widząc przerażenie Katarzyny, która z trudnością pokonała bułkę.

— Chodź, pokażę ci las.

Dotąd nie było okazji do spokojnej rozmowy z Basią, ale Katarzyna bynajmniej o tym nie marzyła.

Teraz ruszyła posłusznie zamysłona i nieco stropiona.

Minęły klomb. Wierzchołki drzew ślniły w blasku zachodzącego słońca.

Weszły w las. Była tam cała sieć spacerowych ścieżek, prostych i krętych.

Wkrótce dotarły do szerokiej drogi leśnej, równoległej do pawilonów.

Siedziało tam na ławkach i spacerowało mnóstwo osób płci obojga, w wiekowych grupach i parami.

— To nasza Piotrkowska — wyjaśniła Basia.

— Każdego tu spotkasz. Chodź prędzej, bo widzę pewnego młodzieńca, który zanadto mnie swymi zalotami.

Pobiegły boczną ścieżką w głąb lasu.

Było to śmieszne, ale wzmianka o powodzeniu Basi ucieszyła Katarzynę.

— Dlaczego oni trzymają w sanatorium zdrową Alinę, a chcą wyrzucić chorą Annę?

— Wcale nie wiadomo, czy Alina nie jest bardziej chora od Anny — odpierała Basia.

— Alina przypomina mi ciebie — okresu szpitalnego.

— Po prostu chce jak najszybciej powrócić do pracy.

— Czuję się rzeczywiście dobrze, reszty dokonuję koncentracją woli.

— Jeżeli w poprzek jej planów stają kaszel czy drobna gorączka, raczej je ukryje przed lekarzem, niż zrezygnuje z wyjazdu.

Niestety, teraz zatrzymał

— Jestem tkaczka — odpierała Katarzyna. — Pracuję w „dwudziestce”.

— Aha — potwierdziła tamta. — Myślałam, żeś panienka. A „dwudziestkę” znam. To Brudermanów.

— Była Brudermanów — odpierała ostro Katarzyna. — Teraz jest nasza.

— Wasza? — zaśmiała się Anna. — A udział ci wypłaca, jak odejdziesz?

Katarzyna wzruszyła ramionami. Nie myślała słuchać starych i głupich dowcipów.

— A ty kim jesteś? — zapytała sucho.

— Niczym — spoważniała tamta.

— Prochem. Tak mnie i uważaj.

— Kto cię tak uważa?

— Wszystkie. Nawet ta twoja Basia. Nie patrz, że człowiek chory.

— Chory? — zdziwiła się Katarzyna. — Przecież ty każdy chory.

— Eee tam! Głupie gadanie — zniecierpliwiała się Anna i druty jej poczęły migać z jeszcze większą szybkością.

— Jakie one tam chore! Ja tu jestem chora. Niedługo mnie diabli wezmą. Krótki żal. I tak psie życie. A ty uważaj, bo cię też zagryzą te przyjadłki.

— Długo ty jesteś? — zapytała Katarzyna szybko.

— Pół roku — westchnęła tamta. — Ale teraz chcę mnie wyrzucić na ulicę. Tacy to lekarze. A streptomycyny nie można się w ogóle doprosić. Trzymajcie dla swoich.

— Podano kawę, chleb, masło i ser.

Tym razem Alina nie żartowała.

— Zupełnie nie rozumiem, czego chce ode mnie ten Rakowski!

— Zawołała z oburzeniem. — Jestem zdrowa!

Po Konkursie

Chcę mówić o chwilach minio-nych. Chwilach, z których każda przynosiła wrażenia niezata-rtę i odmienne od siebie. Chcę mówić o Konkursie. Nie będą to rzecz jasna sądy ro- szące sobie prawo do nieomylności, do słuszności bezapelacyjnej, sądy nieodwo- łalne. Nie, chcę mówić jako jeden z wie- lu słuchaczy. Każdy z nas ma swoje osobiste sądy, pianistów, którzy mu mniej lub więcej odpowiadają, niezależnie od oceny fachowców. Uważam, że czym wię- cej jest owych własnych sądów osobi- stych, tym lepiej. Bo sztuka nie znosi szablonu, ram klasycznych, niewzruszo- nych, które przecież sam Chopin roz- bił i rozwał na swobodę geniusza.

Każdy z nas ma w kramie muzyki dzieła, do których wraca jak do książek dobrze znanych, lecz stale odczytywanych na nowo.

Dla mnie takimi przyjaciółmi są trzy Polonezy: As-dur, fis-moll i Polonez- Fantazja. W tych trzech Polonezach mieszczą się dla mnie trzy portrety kom-pozytora. Trzy różne, a jednak te same twarze. As-dur — dynamiczny, brzmia- cy bohaterami tonami, porównujący i zniewalający swą siłą, młodzieńczym en- tuzjazmem.

Fantazja — zamyślony, pełen roman- tycznych uniesień i lirycznych wyrznię- jakiejś tęsknoty bolesnej, dławiącej jak tzy. Tęsknoty emigranta, któremu już nigdy nie dane było ujrzeć kraju.

I wreszcie trzeci, najwspanialszy chy- ba fis-moll. „Armata w kwiaty” — tra- giczny i bohaterski, liryczny i rewolu- cyjny, drgający kontrastami sielanko- wych taktów Mazurka i słowieszczych tonów głównego tematu.

Pisał o nim Liszt: „...po tym pojawia się idylliczny temat Mazurka niosący jakby zapach mięty i macierzanki. Mimo to nastroju rozpacz i grozy owa idylla nie zatrza — więcej — wystąpi on tym silnie. Podkreślony gorzkim kontrastem, tak, że powrót pierwszego tematu przy- nosi ulgę choć jest obrazem daremnej, tragicznej walki...”

Czy daremnej? Nie, jakoś nie mogę w Chopinie doszukać się przysłowiowej słabo- ści, chorowitości i beznadziei. Wprost przeciwnie — słyszę w nim siłę, siłę tak potężną, że aż groźną. Nie ulegajmy le- gendzie i anegdotce współczesnej. Muzy- ka Chopina jak każda sztuka wielkich konfliktów jest silna i pełna wiary w to, że: „...na końcu tego wszystkiego jest Polska świetna, duża, słowem Polska”.

Poloneza fis-moll grał Tadeusz Kerner, grał go właśnie jako walkę pełną kon- fliktów, tragiczną a jednak zwycięską. Nie daremna, lecz zwycięska i chyba miał rację.

*

Do Żelazowej Woli jedzie się jakby aft- szem Trepczowskiego. Rząd garbatych wierz przydrożnych, niebo to szare je- stenne, to błękitne z lekko reuconymi obłoczkami. Po bokach drogi klawiatura czarnych skib ziemi.

Mazurki — które powstawały z tym pejzażem w oczach i myślach, Mazurki, które dla Zeromskiego były słonecznym promieniem, stały się na Konkursie pod- stawą wielkiej dyskusji, dyskusji postaw artystycznych.

W „Kształcie miłości” Delacroix mówi: „...każda okazja, byle pastuch, pastuszka, byle zdarty głos podbitego starucha zdo- bywa serce i otwiera kieszeń gwiazdy puryskich estrad i salonów. Gdzie logi- ka, gdzie konsekwencje? Czemuz Fryde- ryk tak się kocha w prymitywnych wrza- skach?”

Chopin odpowiada: — „W ich muzyce jest świeżość, jasność jaką u kompozy- torów znajdziesz raz na 10 lat, nie czę- ściej... Nie częściej”.

Śięgam po ten cytat celowo — zbyt wiele słyszałem na Konkursie Mazurkow, przelutrowanych, przestodzonych, w któ- rych brakowało mi owego „prymitywu”. Miałem wrażenie jak gdyby pianiści ucie- kali, chcieli stłumić chłopięcy prosty przyspiew, łagodnie ostrość dysonansowo brzmiących kordów zdartym głosem ma- zowieckiego chłopka.

Zrozumienie Mazurków nie jest tak jak i zrozumienie folkloru cechą szczególną pianistów polskich, której natura poska- piła pianistom innych krajów. Na pewno nie. Można całe życie przepędzić na wsi, a muzyki jej nie rozumieć, nie pokochać. To nie sprawa rasy, czy nacji jak chciała jedna z moich przypadkowych znajo- mych z sali Filharmonii, to sprawa ta- lentu i artysty, wrażliwości na to, co człowieka otacza.

Nagrodę za najlepsze wykonanie Ma- zurków zdobył Fu-Tsung z Chińskiej Re- publiki Ludowej. Nagroda ta jest dla mnie czymś bardziej wzruszającym niż pierwsze miejsce Harasiewicza. Jest dla mnie wielkim dowodem, że muzyka Cho- pina jest najlepszym łącznikiem między ludźmi z wielu krajów i z rozmaitych stron świata.

*

Trudno jeszcze oswoić się z myślą, że Konkurs się skończył — jeszcze parę dni temu pełno było Chopinowskiej muzyki, jeszcze brzmiały tony koncertów. Kon- kurs zakończył się. Laureaci dają kon- certy i recitale. Już jako artyści opatrze- ni ostrogami, nie „młodzi”, początkujący artyści ale laureaci. I w tym sensie Kon- kurs się jeszcze nie skończył. Zaczyna się wielka, życiowa praca młodych pianistów, aby pokazać, że godni są miana laurea- tów Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina. I teraz czekam na pierwsze tony Mozarta, Beethovena, Rachmaninowa, które popłyną spod pal- ców młodzieńczego wirtuoza Harasiewi- cza, na pierwsze tony Ravelowskiego koncertu, którym chyba wraczy nas Czajkowski. Czekam i uradowuję się, gdy usłyszę je w brzmieniu nienagannym, nieskalanym. Bo wartość Konkursu to dla mnie nie fakt wysunięcia laureatów, ale to iż jest wielką szkołą wielkiej mu- zyki i jej umiowania.

Chopiniści tańczą...

...Naturalnie nie Chopina, ale walce, tanga, fokstroty i sam- by. Podobno nie najgorszy to odpoczynek po całych tygod- niach chopinowskiej muzyki.

Na wieczorku uczestników Konkursu Chopinowskiego nie ma oklaskiwanych laureatów i sławnych dziś nazwisk; jest gro- mada roześmianych, rozbawio- nych, roztańczonych chłopców i dziewcząt.

Okazuje się że Ringeissen jest nie tylko znakomitym pianistą ale i świetnym tancerzem. Peł- na żywego temperamentu Buł- garka tańczy z Günterem Kot- zem, a wśród ogólnego śmiechu Ritva Arjava pije „kielisek braterstwa” z Postiglione. Sty- lowa suknia Malinee z Cejlonu miga ciągle w innym końcu sali, z coraz to innym tance- rzem.

Z krótkich chwil przerwy w tańcu wszyscy korzystają aby wymienić autografy i adresy, aby jeszcze przed rozstaniem poflirtować ze sobą.

Wszyscy poddają się ogólne- mu nastrojowi niefrasobliwej wesołości, wszyscy czują się ze sobą swobodnie i bezpośrednio. Patrząc na tę zgraną grupę trudno wprost uwierzyć, że dzieli ich kraje tysiące kilome- trów, obcy język...

Pozdrowienia od uczestników Konkursu im. Fryderyka Chopina

Pour le lechman de
"Po Prostu" avec une
Vive sympathie
Mireille Auxietre

Czytelnikom POPROSTU wyraży głębokiej sym-
patii

MIREILLE AUXIETRE

Para Poprostu, organo del estudio tado
polones, portador de una mejor
auspicio para su accion y su fin
Cordialmente Zenon Fishbein

Dla czytelników POPROSTU — pisma studentów polskich, przesyłam naj-
lepsze życzenia dalszej owocnej pracy i walki.

ZENON FISHBEIN

W zadmionej kawiarni łódzkiego Grand-Hote- lu spotkałem dawno niewidzianego kole- gę, tegorocznego ab- solwenta Wyższej Szkoły Filmowej. Rozmowa — jak zawsze podczas takiego spotkania chaotyczna i często przerywana — po pewnym czasie skupiła się wo- kół sztuki filmowej. Złośliwie uwagi o „dziełach” polskiej kinematogra- filii, najnowsze plotki i anegdoty z kulis „fabryki snów” ustąpiły w końcu bardziej poważnym rozważa- niom nad przyszłością polskiego fil- mu.

Kiedy mój rozmówca po raz nie wiem który wypiewywał hymny pochwalne pod adresem włoskiego neorealizmu, nie wytrzymałem i wtrąciłem z pasją:

— Do licha, zachwycacie się wszyscy filmem włoskim, jego głę- boko życiowymi problemami a jakoś nie widać, żebyście sami usiłowali stworzyć dobrą sztukę filmową.

Spojrzał na mnie z pobłażliwą wyrozumiałością i odrzekł krótko:

— Cóż, brak talentów. Nic na to nie poradzisz.

— Jak to? — zdziwiłem się. — Czy przez pięć lat pobytu w Szkole ni- czego nie nauczyliście się, czy nie rozwinęliście, nie pogłębiście swych uzdolnień, nie mówiąc już o zadatkach talentu, które na pewno miał niejeden z was?

— I tak i nie. Szkoła dała nam niewątpliwie pewną wiedzę ogólną i fachową, ale to mało, to nie wy- starcza. Szkoła nie stworzy artysty na zamówienie. Włosey filmowcy nie kończyli Szkoły — zakończyli filozoficznie.

Przyznam się, że nie wszystkie argumenty trafiły mi do przekonania. Na pewno nie każdy, kto uzyska dyplom, jest jednocześnie praw- dziwym twórcą. Ale przecież studia- filmove powinny ułatwiać, przy- śpieszać dojrzewanie młodych, do- brych realizatorów, którzy nieko- niecznie muszą być od razu geni- uszami. Tymczasem z kilku roczni- ków, które opuściły Szkołę, usłysze- liśmy ostatnio zaledwie o trzech nazwiskach: Munk i Lesiewicz, twórcy filmu „Gwiazdy muszą pio- nąć” i Wajda — realizator „Pokole- nia”. W dodatku Munk i Lesiewicz nakręcili swój film w kilka lat po ukończeniu Szkoły, ucząc się prak- tycznie dopiero w wytwórni. Nie wspominam o „Trzech opowieś-

ciach”, które nie wniosły nic nowe- go do naszego filmu.

Pesymistyczny ton mojego kolegi i pewne poczucie beznadziei skło- niły mnie do trochę bliźszego zaję- cia się sprawami młodych twórców naszego filmu.

*

Każdy, kto nie styka się bezpo- średnio z produkcją filmową, byłby oszołomiony, dowiadując się na przykład, że etuda filmowa, krótki dziesięćminutowy film szkolny, kosztuje od 50 do 80 tysięcy zło- tych. Słuchacze PWSF oprócz obowi-язujących etud mają prawo do własnych eksperymentów, realizo- wania swych scenariuszy, które nie mogą być tematem pracy egzami- nacyjnej. Na ten cel Koło Naukowe

otrzymuje specjalną dotację w kwocie około 150 tysięcy złotych. Umożliwienie słuchaczom PWSF eksperymentowania to duży krok naprzód w rozwoju Szkoły. Ale to nie wszystko.

Jeszcze do niedawna dysponowa- no jedną, nieakustyczną salą pro- jekcyjną, która służyła zarówno do pokazów filmowych jak i do pod- kładania dźwięku. Obecnie Szkoła posiada piękną, doskonale wyposa- żoną, akustyczną salę postsynchroni- zacyjną wybudowaną z inicjatywy i według projektu pracownika Szkoły, inż. Rybickiego. Dobiegają jednocześnie końca prace nad bu- dową nowego atelier na Marysinie, które pozwoli na kręcenie słup- centowych zdjęć (tzn. z równoczes- nym nagrywaniem dźwięku).

Tak więc w porównaniu z latami ubiegłymi wiele zmieniło się w Szkole na lepsze. Młodzi filmowcy, jeżeli chodzi o zaplecze techniczne, mają wystarczająco dobre warunki do artystycznego rozwoju.

Oczywiście mój kolega-absolwent wtrąciłby, że przedstawione tu fak- ty mogą się wydać imponujące tyl- ko dla „niefilmowców”, bo nawet baza techniczna w Szkole ma wiele jeszcze braków i jest daleka od

ideału. Zgoda. Ale nie zmienia to faktu, że już w tej chwili istnieją bardzo dobre warunki studiów dla młodziarzy filmowej. Dowodem tego są młode kadry operatorów, o wy- kształcenia których w pierwszym rzędzie decydują warunki technicz- ne. Na ogół wszyscy oni wynoszą ze Szkoły dobre przygotowanie fa- chowe. Po kilku miesiącach kon- niecznej praktyki, zaznajomienia się z systemem pracy w wytwórni, sta- ją się samodzielnymi, wartościowymi pracownikami filmu.

Inaczej jest z młodymi reżysera- mi. Na pewno przypominacie sobie toczące się dwa lata temu burzliwe dyskusje. Chodziło o danie możli- wości rozwoju artystycznego w wy- twórniach filmowych absolwentom

olbrzymiej wiedzy ogólnej, huma- nistycznej, n uczenia ich samodziel- ności w pracy i myśleniu, zaopa- trzenia ich wreszcie w metodę twórczą, w duży zasób fachowych wiadomości. W ciągu pięciu lat młody, mało doświadczony człowiek powinien dojrzeć, sprzecyżować so- bie ideowy i artystyczny pogląd na świat, powinien stać się mniej lub bardziej dojrzałym twórcą. Czy przy obecnym systemie nauki Szkoła zdolna jest realizować te za- dania?

Zaznajamiając się z programem wykładów i ćwiczeń można bez tru- du zauważyć, że jest on urozmaico- ny. Obok pozycji ściśle filmowych znajdujemy tam podstawy marksiz- mu-leninizmu, historię sztuki, teo-

rię i historię literatury, muzykę, plastykę, języki. Pozornie wszystko w porządku. Rozczarowania zaczy- nają się dalej. Chodzi o to, że zda- nie egzaminu z jakiegokolwiek z przedmiotów ogólnych daje gwa- rancję opanowania zaledwie mini- malnej części tej wiedzy, którą mu- si przyswoić sobie do egzaminu stu- dent uniwersytetu. Cieniutku skryp- cik, który na uniwersytecie służy zaledwie jako obowiązek do konsul- tacji czy kolokwium, tutaj jest pod- stawą egzaminu. Intensywność stu- diów ze względu na powierzchowny, sztucznie rozciągnięty na pięć lat program jest minimalna.

Wydać się może, że w ten sposób opuszczający szkołę młody reżyser jest niedokształcony ogólnie. Jedna strona jego znajomości życia, a mia- nowicie wiedza o tym życiu jest mocno niedorozwinięta.

Również tak potrzebna młodemu reżyserowi bezpośrednia łączność z terenem, z życiem, podpatrywanie różnych jego przejawów praktycz- nie istnieje w Szkole dopiero na V roku. W ogóle słuchacze PWSF tworzą dość szczerze zamkniętą przed różnymi wpływami rodzinną, wewnątrz której rozstrzyga się większość nurtujących ją proble-

ów. Wiele na tym polu mogłoby zdziałać organizacja zetempowska. Cóż, kiedy jest ona prawie symbo- liczna: czasami mówi się o niej, ale trudno ją zauważyć. Jak szczerze powiedział rektor — wiele doraź- nych prac wykonuje za koło ZMP organizacja partyjna.

Sytuacji tej nie zmienia się po- większeniem liczby wykładów z przedmiotów ogólnych. Dojrzałość umysłowa, znajomość życia przy- chodzą równocześnie z opanowywa- niem wiedzy i z wielkimi.

Od dawna mówi się o tym, że rzecz najrozsądniejszą byłoby przyjmowanie na wydział reży- serski kandydatów z wyższym wy- kształceniem, o skryształowanym światopoglądzie, ze znajomością ży-

ogół brak w Polsce dobrych fa- chowców, którzy by jednocześnie mieli talent pedagogiczny. Jedy- e reż. Bohdziewicz od kilku lat z nie- zmiennym zainteresowaniem i tros- ką spełnia swe profesorskie funk- e, przekazując młodym wiele swych cennych doświadczeń. O wiele mniej czasu poświęcają Szkole Ford i Jakubowska, już to ze względu na swe zajęcia twórcze, już to cho- ciażby na skutek braku pedago- gicznych zamiłowań.

Podniesienie fachowości studiów to sprawa bardzo pilna. Już teraz przy dobrej woli i operatywności rektoratu można wiele zrobić. Dla- czego np. ocena filmów studenckich ogranicza się tylko do komisyjnego obejrzenia i wystawienia cyfrowej noty. A gdzie dyskusja, analiza fil- mu, na której byłby obecny jego twórca? Uzasadnienie takiej czy innej noty?

Aleksander Jackiewicz, wykla- dowca Szkoły, pisał kiedyś na la- mach „Przeglądu Kulturalnego” o konieczności zaznajamiania młó- dzieży przez reżyserów z własnym warsztatem twórczym, z własnymi eksperymentami, co do tego czasu nie było praktykowane. Obecność Forda i Jakubowskiej w Szkole po- winna być chyba pod tym wzglę- dem jak najbardziej wykorzystana.

Warto zastanowić się nad stwo- rzeniem grup (klas) prowadzonych przez poszczególnych twórców. W ten sposób zwiększyłaby się odpo- wiedzialność doświadczonych reży- serów za rozwój młodych, im sa- mym zaś dałoby to możliwość do- kładniejszego poznania warsztatu.

Warto poza tym opracować stały, wyczerpujący program nauczania. Eksperymenty z wprowadzaniem i wycofywaniem co roku różnych przedmiotów trwają już zbyt długo, a „model Szkoły”, którym miała być PWSF (tak obcywał CUK) jest nadal niedoskonały.

Obecny stan polskiej kinematog- rafii wymaga przede wszystkim właściwego ustawienia systemu ko- sztownego kształcenia młodych kadr reżyserkich. Od tego zależy przy- szłość polskiego filmu. Przy pełnym wykorzystaniu środków może znaj- dać się talenty — o których tak scep- tycznie wyrażał się mój kolega z łódzkiej kawiarni

MARIAN KUSA

POPROSTU

5

Chrystus — postać historyczna czy mityczna?

Wobec przedstawionego w poprzednim artykule stanu literatury chrześcijańskiej, pozbawionej wszelkiej dowodowej wartości naukowej, historycy badający zagadnienie autentyczności Jezusa zwracali się przede wszystkim do źródeł niechrześcijańskich.

Już pod koniec wieku XVIII znany historyk angielski Gibbon w swoim dziele pt. „Historia upadku państwa rzymskiego” wskazał na fakt niezwykle charakterystyczny i zadziwiający, mianowicie, że żaden z pisarzy pogańskich, greckich, rzymskich — współczesnych Jezusowi — ani słowem o nim nie wspomina. Gibbon pisze:

„Jak wytłumaczyć tę niewagę starożytnego świata...? W czasach Jezusa, jego uczniów i apostołów, nauka przez nich głoszona oparta była szeregiem zdarzeń cudownych. Chroli chodzili, ślepi widzieli, chorzy powracali do zdrowia, umarli z martwych wstawali, czarów wypędzano i prawa natury niejednokrotnie były uchyłane dla dobra Kościoła. Jednak greccy i rzymscy uczeni przechodzili obojętnie obok tych rzeczy nadzwyczajnych i zajęci codziennymi troskami życiowymi lub swymi badaniami zdawali się zupełnie nie spostrzegać tych wielkich zmian w fizycznym i moralnym porządku świata”.

Gibbon dziwi się dalej, dlaczego np. Pliniusz Starszy (23—79 n. e.) autor „Historii naturalnej” (dodajmy od siebie, bezkrytyczny łowca wszelakich plotek i cudownych opowieści), w której cały rozdział poświęcił zaćmieniom, nie wspomina zupełnie o zaćmieniu, jakie według tradycji chrześcijańskiej w chwili zgonu Jezusa na krzyżu przez trzy godziny zalegała cała ziemia.

To milczenie starożytnych pisarzy jest tym bardziej wymowne, że kronikarze owych wieków przede wszystkim zapisywali właśnie zjawiska wyjątkowe i niezwykłe, nawet tylko zasłyszane i nie wiadomo od kogo pochodzące.

Są jednakże dwa starożytne źródła niechrześcijańskie, które wspominają o Jezusie i jego czynach i do których teologowie i klerykalni pisarze przywiązują największą wagę. I nie dziw. Są to przecież świadectwa niewiernych, które tym bardziej zasługują na zaufanie, że ich autorzy, mimo swej wrogości do chrześcijaństwa, potwierdzają jednak fakt istnienia jego założyciela.

PERSONALIA GŁÓWNEGO ŚWIADKA

Jednym z tych źródeł są prace historyczne Józefa Flawiusza (37-100 n. e.). Historyk ten był zromanizowanym Żydem, brał udział w powstaniu żydowskim (66-70 n. e.) przeciwko Rzymianom jako dowódca armii żydowskiej i gubernator Galilei. Został on wzięty do niewoli przez cesarza Wespazjana (69-79 n. e.) i był później jego ulubieńcem. Przybrał za jego zgodą imię rodowe dynastii Flawiuszów i stał się nadwornym historykiem cesarza rzymskiego. Napisał on między innymi „Starożytności żydowskie”, w których omawia także dzieje Żydów w I wieku n. e.

Któż może być bardziej wiarygodnym i pewnym świadkiem aniżeli Józef Flawiusz? Był Żydem i jednocześnie pod względem kultury oświeconym Rzymianinem, obracającym się w najwyższych sferach współczesnego mu świata starożytnego. Nie, Józefa Flawiusza o stronniczość na korzyść chrześcijaństwa w żaden sposób posadzać nie można. Był ponadto zawodowym historykiem, który posiadał wszystkie moż-

liwości gromadzenia potrzebnych mu materiałów. Urodził się i wychował w Jerozolimie, ważył w Galilei, znał więc doskonale stosunki miejscowe. Wiedział z własnego doświadczenia o wielu wydarzeniach historycznych, które zaszły na obszarze jego niedużej zresztą ojczyzny. A o wypadkach, które poprzedziły jego urodziny albo przypadły na okres jego dzieciństwa, miał na pewno możność słyszenia od naczynych świadków, prawdopodobnie nawet spośród najbliższej swojej rodziny. Od Jezusa był młodszy tylko o trzydzieści kilka lat, czyli był rówieśnikiem drugiego zaledwie pokolenia jego wyznawców. Słowem, pisma Flawiusza, jako źródło historyczne czynią zadość wymaganiom krytycznego dziejopisarstwa. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że po wsze czasy uczeni teologowie przypisywali temu źródłu decydującą rolę.

POBOŻNA „POPRAWKA” HISTORYCZNA

Chodził mianowicie o następujące trzy ustępy XVIII księgi „Starożytności żydowskich”:

„1. Napadnięci bez broni przez ludzi dobrze przygotowanych ludzi (Żydów) zginęło na miejscu: inni, ranni, uciekli. Tak się skończyło powstanie (żydowski) przeciwko Rzymianom).

2. W tym czasie przyszedł Jezus, człowiek mądry, o ile jednak można powiedzieć, że był to człowiek, bo był on **twórcą czynów cudownych**, nauczycielem ludzi, którzy z radością przyjmują prawdę; przyciągnął do siebie wielu Żydów, a także wielu Greków. **Był to Chrystus**. Kiedy wskutek doniesienia pierwszych wśród nas Piłat skazał go na ukrzyżowanie, ci którzy pierwsi go umiłowali, nie odstąpili go, ponieważ w trzy dni po tym zjawił się im **zmarłychwstały. Boscy prorocy przepowiedzieli to i** dziesięć tysięcy innych cudów o nim. Jeszcze dzisiaj nie zniknęła sekta chrześcijan — tak nazwana od niego.

3. W tym samym czasie inny straszliwy cios spadł na Żydów” (tj. deportacja Żydów rzymskich na Sardynię).

Przyjrzyjmy się nieco bliżej tym wypowiedziom historyka żydowskiego. Zasłoniły w tym celu na chwilę skrawkiem papieru ustępy drugi. Od razu widzimy, że ustępy pierwszy i trzeci ściśle wiążą się ze sobą pod względem rzeczowym i stylistycznym. Ustępy pierwszy mówi o stłumieniu powstania żydowskiego w Jerozolimie, a ustępy trzeci — o wywiezieniu Żydów rzymskich do Sardynii. Oba te fakty pozostawały ze sobą w związku przyczynowym i czasowym. Toteż autor zaczyna trzeci ustęp jak się należy od słów: „W tym samym czasie...”. Ustępy drugi zupełnie bezsensownie rozrywa związek między ustępem pierwszym i trzecim i ni przypiął, ni przylatał młotem o zjawieniu się i działalności Chrystusa, co według tradycyjnej chronologii miało się zdarzyć w latach 28-30 n. e., a więc przeszło czterdzieści lat wcześniej niż zbuzwienie Jerozolimy i wywiezienie Żydów do Sardynii, o czym mowa jest w ustępie pierwszym i trzecim. Można więc stwierdzić, że jest to wstawka (interpolacja), wprowadzona cudzą ręką do któregoś z rękopisów „Starożytności żydowskich”.

W jakim celu? — mówi o tym sama treść wstawki.

Wolter w swoim „Dictionnaire philosophique” wyśmiewa tę naiwną

chytrość niezanego autora interpolacji: „Jak to, ten uparty Żyd miały powiedzieć, że Jezus był Chrystusem? Co za absurd kazać Józefowi przemawiać jako chrześcijaninowi!”

Józef Flawiusz co prawda nie był „upartym Żydem”, bo należał do arystokracji żydowskiej. W rzeczywistości za młodu należał do faryzeuszów, z którymi, jak wiadomo, Ewangelie tak osro wojują, a później — był asymilowanym obywatelem rzymskim. Ale w każdym razie ani jako były faryzeusz (a wierzącym Żydem pozostał do końca życia), ani jako oświecony Rzymianin nie mógł wierzyć w to, że Jezus czynił cuda, w powstanie z martwych, a zwłaszcza w to, że Jezus był Chrystusem, tj. Mesjaszem, którego przyjsie zapowiadał boscy prorocy.

Wobec wymowy samego tekstu nawet rozsądniejsi teologowie nie kwestionują dzisiaj tezy, że cytowany wyżej ustęp drugi jest fałszerstwem.

A kim mógł być autor tej wstawki? Starożytni Rzymianie mówili: „Is fecit cui prodest”, co po polsku znaczy: „Uczył ten, dla którego to było korzystne”.

GDZIE ZRODZIŁO SIĘ FAŁSZERSTWO?

Ojcowie Kościoła byli, jak wiadomo, ludźmi oczytanymi. I widocznie nigdzie w piśmiennictwie niechrześcijańskim nie znajdowali świadectwa o istnieniu Jezusa. Musieli być zwłaszcza zaniepokojeni brakiem wszelkiej wzmianki w pismach Józefa Flawiusza. Rozumieli oni bowiem, że kto jak kto, ale przynajmniej ten historyk żydowski powinien był coś wiedzieć o osobie i działalności założyciela chrześcijaństwa. A tymczasem opowiada o wielu drobnych wydarzeniach i o plotkach z życia w Palestynie, co więcej, wymienia nawet mesjaszów, którzy tam się zjawiali, a o jedynie prawdziwym, o jego niezwykłych czynach i śmierci — milczy jak grób. Należało to koniecznie jakoś poprawić. Otóż najczęściej „poprawka historyczna” w wyniku krytycznej analizy przekształca się w swoje przeciwieństwo: z świadectwa mającego potwierdzić jakiś rzekomy fakt — staje się świadectwem zaprzeczającym temu faktowi. Wstawka pobożnego czytelnika lub przepisywacza rękopisu Józefa Flawiusza zrobiła niezwykle karierę i przez długie wieki swój cel osiągała: była dla bezkrytycznych pisarzy i wierzących dowodem historyczności postaci Jezusa. Ale w końcu jednak obróciła się w świadectwo o mityczności założyciela chrześcijaństwa. Prawda, jak najbardziej nawet fałszowana, w końcu najczęściej zwycięża.

CO SĄDZIĆ O ŚWIADECTWIE TACYTA

Drugim podstawowym źródłem „niechrześcijańskim, w którym znaleźć można wzmiankę o Chrystusie, są „Roczniki” rzymskiego historyka Tacyty (55-120 n. e.). Wzmianka ta brzmi jak następuje: „Chcę po-

łożyć kres pogłoskom, że sam spalił Rzym (w r. 64 n. e.) Neron „podsunął” winowajców i zastosował najbardziej wyszukane kary wobec znienawidzonych za ich niegodziwość ludzi, których naród nazywa chrześcijanami. Człowiek, od którego pochodzi ich nazwa — Chrystus — został za rządów Tyberiusza stracony przez Prokuratora Piłata, a zdławiony chwilowo szkodliwy zabobon rozlał się i rozprzestrzenił nie tylko w Judei, gdzie powstał, ale i w Rzymie, dokąd ze wszystkich stron spływają i gdzie znajdują posłuch i ujęcie wszelkie ich bezczesztwa i bezwstydne praktyki. W taki oto sposób początkowo ujęto tych, którzy sami się przyznali (że są chrześcijanami), a potem według ich wskazówek — olbrzymią liczbę innych”.

Wnosząc z tonu i sposobu wyrażania się o chrześcijaństwie, nie można tej wiadomości uznać za fałszerstwo dokonane ręką chrześcijanina. Zupełnie co innego podważa jej wiarygodność, nawet jeśli pochodzą od samego Tacyty. Autor ten pisał swoje dzieło w latach 115-117 n. e. Dzieliło więc go wówczas od domniemanej daty śmierci Chrystusa kilka pokoleń. W tym czasie chrześcijaństwo było już ruchem z dostatecznie okrzepłą legendą o swoim założycielu. I legendę tę Tacyt powtórzył za chrześcijanami. Wspomniany już znawca źródeł historycznych, odnoszących się do początków chrześcijaństwa, Ranowicz tak o tym pisze: „...Tacyt przeniósł do przeszłości wyobrażenia o chrześcijanach aktualne w tym czasie, w którym pisał swoje roczniki”.

Przykładem bezkrytycznego przenoszenia stosunków współczesnych do lat przeszłych jest wzmianka o „olbrzymiej liczbie chrześcijan” w r. 64 n. e. Wiadomo bowiem z pewnością, że w owym roku faktycznie liczba chrześcijan w Rzymie mogła być jeszcze tylko nieznaczna. Zwrócić także należy uwagę, że Tacyt wspomina tylko o straceniu założyciela chrześcijaństwa, a nie nie mówi o jego życiu i działalności.

*

Podsumujemy krótko nasze wywody.

Jak pisaliśmy w pierwszym artykule, źródła chrześcijańskie nie przedstawiają żadnych dowodów ani faktów, które mogłyby uzasadnić tezę o istnieniu Chrystusa. Przyznaje to — jak przedstawialiśmy — nawet wielu badaczy kościelnych, liczących się z obiektywną wymową i wartością dowodową ewangelii. Powyższy, drugi artykuł, przedstawia stan zasadniczych źródeł niechrześcijańskich, które rozpatrywane krytycznie są co najwyżej świadectwem zabiegów apologetycznych pobożnych fałszerzy i świadectwem kształtowania się legendy w ramach powstającego ruchu chrześcijańskiego. Dlatego też współczesna nauka historyczna stwierdza, iż na pytanie o historyczność postaci Chrystusa można odpowiedzieć jedynie negatywnie.



Już coraz cieplej. Piękna jest Warszawa w okresie przedwiośnia. A taka chwila odpoczynku nad Wisłą, jaką uchwycił na zdjęciu fotoreporter — ma w sobie wiele uroku.

ODDŹ WIEKI

Na marginesie „Ceny kariery”

Rok temu, z braku innych możliwości, spędzałem „Sylwestra” w obskurnej świetlicy Ochotni. Strazy Póżarnej w Szczyrk. Tożca się tam zabawa wyróżniała się między innymi niechętnym łokiem i wprost niewiarygodną liczbą osób pijanych jeszcze przed północą. A jednak wyniosłem stamtąd wspomnienie chyba na całe życie. Oto w pewnej chwili odpowiednio nietrzeźwy kierownik jednej z taniejszych Spółdzielni Spożywców zaczął z charakterystycznym pijackim uporem i, trzeba przyznać, niezwykłą sugestywnością, tłumaczyć memu koleźce, na czym polega zło świata. Oto jego słowa: „Na świecie jest złe, panie — a dlatego, bo ludzie są świnie. Świnie — rozumie pan!”

Byliśmy wtedy bardzo dalecy od przyznania racji powyższej tezie, a jednak rok, który upłynął od tego czasu, przepełnił mnie, że słowa te wcale nie były głupie i niejednokrotnie musiałem się z tym zgodzić.

*

Sprawa Remy i Siawka jest bardzo trudna i skomplikowana. Toteż nie się się na generalne ujęcie problemu. Chcę jedynie zająć się zagadnieniem roli, jaką w tej sprawie odegrały: kolektyw, organizacja zetemowska, organizacja partyjna.

Przebieg tych tragicznych wydarzeń jest najlepszym potwierdzeniem stanowiska Siawka, że kolektywy (w tym wypadku), to zero lub nawet gorzej — czynnik ujemny.

Faktem jest, że drobnomieszczańskie stanowisko rodziny Barańskich było jednym z głównych powodów tragedii, ale tym bardziej tam, gdzie zabrakło rozumów — powinni znaleźć się kolektywy, organizacja. Los Remy mógł wywołać skrajnie nieprzyjemne uczucia do głównego winowajcy Siawka, ale to nie może być powodem do prób zlamania młodego człowieka i zabicia w nim reszty sumienia.

* * *

Artysty zamieszczony w 11 nr PO-PROSTU wywarł na mnie duże wrażenie.

Tak, to nie jest sprawa indywidualna Remy i Siawka, takie sprawy w tych lub innych okolicznościach powtarzają się często, ale kto jest wtedy winien... I chociaż mnie się wydaje, że winni są jasno wskazani, często spotyka się zdania, że winna jest właśnie ta „świadczona dziewczyna”, bo — „ma swój rozum”, bo „jakby nie chciała” itd.

Przykład Remy i Siawka jest klasyczny. Kto zawinił w tym przypadku?

Według mnie to nie zawinił, a zawinił, bo winien jest nie tylko Siawek, winnych jest dużo.

A więc w pierwszym rzędzie Siawek — słaby, tchórzliwy aż do podłości, Siawek — człowiek niski i egoista, typowy karierowicz.

Ktoś by mógł powiedzieć, że był on podły tylko w stosunku do Remy (spotkali się już z takim zdaniem), ale przecież był dobrym pracownikiem, uczciwym człowiekiem. Ale ten „uczciwy człowiek”, to przecież klasyczny typ karierowicza, o którym każdy dobrze myśli, bo jest czysty na zewnątrz, ale w środku — samo błoto.

Żalobę Siawka doskonale charakteryzuje jego początkowa postawa na studiach, gdy z powodu trudności chce rezygnować. Naprawdę nie mogło mu być trudno, miał przecież rodziców, którzy mu na pewno mogli pomóc.

Doskonałym dodatkiem do Siawka jest jego dom, rodzice, ci właśnie rodzice, którzy razem ze Siawkiem, częściowo pośrednio, częściowo bezpośrednio — przyczynili się do zlamania życia Remy.

Pośrednio — bo właśnie oni zobowiązali Siawka tego słabego, tchórzliwego człowieka, bezpośrednio — bo dbając tylko o własny domek, o własne ciasno polette szczęście, o szczęście ukochanego jedyn-

na. To, że zamiast serdecznej pomocy i opieki, które umożliwiałyby utrzymanie wórew postawie rodziców, że zamiast moralnego i czysto materialnego poparcia starano się w podły (bo inaczej) tego nazwać nie można) sposób upokorzyć w nierównej walce Siawka, to wszystko jest nie mniej smutne niż same koeje bonaterów.

A przecież leżała w możliwości kolektywu udzielenie pomocy młodym i jednocześnie przez jakiegoś poważnego, ciekawego się autorytetem człowieka, wpłynięcie na zmianę stanowiska Barańskich. Czy zgoda rodziców uzyskana tą drogą nie byłaby więcej warta od zgody wymuszonej w nierównej walce?

Olbrzymią odpowiedzialność ponosi Siawek i jego rodzice, ale nie mniejszą kolektyw, od którego można wyznaczyć zjawiska wiściwego stanowiska wobec tego rodzaju problemów. Postępowanie tego ostatniego jest dla mnie jeszcze jednym dowodem, że pozmie sprzeczne z ideologią marksistowską twierdzenie pijanego kierownika spółdzielni znajduje, niesytę, pokrycie w życiu i to chyba niesporadycznie.

Zbyt często u nas w powodzi „wielkic” spraw zapomina się o człowieku. A skutki powierzchownego oceniania ludzkich czynów i wywołanie dyrektyw zła, które się przeważają, opakić. I dlatego prócz wielu problemów moralnych nie można tu zapomnieć o ludziach, którzy byli powołani do zajęcia innego stanowiska. Słowa Siawka: „Kazdy uniera w samotności” — są wiekiem oskarżeniem, nad którym warto się zastanowić.

A przecież to jeszcze nie wszystko.

Sposób, w jaki Remy straciła organizację i możność dalszej nauki oraz całkowity brak zainteresowania jej dalszym losem ze strony kolektywu, to wszystko jest aż nadto wystarczające, by stracić wiarę w ludzi, zwłaszcza, że przejścia tej dziewczyny były naprawdę koszmarnie.

ANDRZEJ NIEWIADOMSKI
Politechnika Warszawska

naka, zniszczył życie drugiemu człowiekowi.

Alle winni są nie tylko oni.

Gdyby Remy znalazła oparcie we własnej rodzinie, w organizacji zetemowskiej, może jej tragedia nie byłaby taka straszna. Poglądy „o hanbie”, jaka przynosi nieślubne dziecko, jeszcze jednak pokutują.

I o to jest, zdaje mi się, najstraszniejsze. O „zhanbioną” dziewczynę rozpoczynającą się przetrąci. Rodzice chcą ją jak najszybciej „wydać za mąż” za Siawka, mimo że ten ujawnił się zupełnie, mimo iż poznali jego charakter. Sądzę, że było już jasne, iż z takim człowiekiem jak Siawek Remy nie byłaby szczęśliwa, ale rodzicom Remy wydawało się, że unikniecie „hanby” jest ważniejsze, niż późniejsze długie, wspólne życie. A organizacja zetemowska na wydłaze? Wydawałoby się, że rodzice, ludzie starsi — no cóż, przesady mogą pokutować. A czym się różni postawa kół ZMP od postawy rodziców?

Remy, tak prawdziwie, nie zainteresował się nikt. Kiedy ją wyrzuceno z organizacji zetemowskiej nikt nie miał przeciwnego temu. A przecież Remy — to piękny człowiek. Tak, teraz jest właściwie zlamana, ale przecież jakże młoda, odwagi i prosty stosunek miała ona do tej całej sprawy! Sama czysta — wierzyła w uczciwość innych ludzi. I to jedynie, według mnie, było jej całą „winą”. Sprawa Remy nie jest tylko przestrożą dla innych dziewcząt. Jest ona przestrożą dla organizacji zetemowskiej, dla ludzi, którym te dziewczęta są bliskie. Jest zdemaskowaniem ludzi „bogobojnych”, lecz jednocześnie podłych, takich jak rodzice Siawka i on sam.

Alle Remy nie można zostawić samej. Jest ona młoda, na przed sobą życie. Dotychczasowe wykoślawienia „trzeba wyprostować — wrócić jej wiarę w człe wieka, pomóc w wychowaniu syna, umożliwić dalsze studia — oto zadania dla organizacji zetemowskiej, dla przyjaciół Remy, a takich na pewno znajduje wielu.

RUTA BERSZTAJN
Wrocław

Światopogląd a nauka

O materializmie żywiolowym i materializmie świadomym

Prof. dr JÓZEF HURWIC

Swierdzenie, iż zajmowana pozycja światopoglądowa wpływa na stopień poznania i opanowania każdego faktu eksperymentalnego, jest oczywiście przesadą. Tam jednak, gdzie chodzi o opartą na tych faktach syntezę, o prawa ogólne, zajmowana pozycja filozoficzna — poznawcza niewątpliwie odgrywa wybitną rolę. Wskazę tu na jeden przykład ze swojej dziedziny.

Do fundamentalnych praw, na których opiera się chemia fizyczna, należą m. in.: zasada zachowania masy, zasada zachowania energii oraz einsteinowska zasada współzależności masy i energii (którą zazwyczaj, choć mniej trafnie, nazywa się zasadą równoważności masy i energii). Otóż należyte zrozumienie i konsekwentna interpretacja tych zasad jest — moim zdaniem — niemożliwa bez oparcia się na leńinowskiej definicji materii (podanej w epokowym dziele „Materializm a empiriokrytycyzm”) bez oparcia się na jednym z podstawowych praw materialistycznego przyrodzności — na zasadzie zachowania materii i na uprzedzeniu sobie, że masa i energia są tylko atrybuty niezniszczalnej materii.

Wtedy nie dochodzi się do bala-mutnych sformułowań, że masa zmienia się w energię lub materia

zmienia się w energię, skąd jest tylko jeden krok do bezsensownych wniosków o dematerializacji materii lub stwarzaniu materii. Materia może być tylko z jednej postaci przechodzić w drugą, przy czym ani całkowita masa, ani całkowita energia nie ulegają zmianie.

Wielkich odkryć dokonywali i dokonują zarówno uczeni materialści, jak uczeni idealisci. Można jednak wykazać, że uczeni-idealisci, tzn. opowiadający się za idealistycznym poglądem na świat, jest w swej pracy odkrywczej nieświadomym, żywiolowym materialistą, posługując się on nieświadomie — często wbrew swoim intencjom — materialistyczną metodą badawczą. Dla przykładu wskazać na dwa fakty, ilustrujące jak idealistyczna metoda badawcza prowadzi na manowce, materialistyczna zaś — czy to świadomie czy nieświadomie stosowana — do poznania nowych zjawisk.

Eksperymentalne badania promieniotwórczości stwierdziły, iż widmo energetyczne promieni beta jest ciągłe. Przy ówczesnym stanie wiedzy o cząstkach elementarnych nie dało się to pogodzić z zasadą zachowania energii. Fizycy-idealisci skłonni byli wyciągnąć stąd wniosek o fałszywości tej zasady, Natomiast fi-

zycy uznający materialistyczne metody rozumowania nie uważali za możliwe tak pochopnie obalić jedną z fundamentalnych zasad przyrodzności. Woleli oni raczej tę zasadę przyjąć za niewzruszoną. Wtedy jednak musieli wysunąć hipotezę nowej cząstki elementarnej unoszącej „traconą” energię. Cząstkę tę nazwano neutrino. Zasada zachowania energii skierowała z kolei badaczy do eksperymentalnych poszukiwań tej cząstki. Późniejsze, specjalnie w tym celu przedsięwzięte badania, istotnie potwierdziły hipotezę neutrino.

O ile nawet żywiolowy materializm jest w badaniach twórczych, to tym bardziej płodny jest materializm świadomie stosowany. Rozpatrmy inny przykład. Uczeni zachodni, reprezentujący raczej idealistyczny pogląd na świat, stworzyli w chemii tzw. teorię rezonansu. Stwierdzono mianowicie, iż w wielu przypadkach przyjęte wzory strukturalne różnych związków chemicznych nie odpowiadają dokładnie ich zachowaniu się. Dowodzą to jedynie niedoskonałości nasze, „pisowni” chemicznej, która nie jest w stanie opisać całego bogactwa faktów przyrodniczych. Otóż twórcy teorii rezonansu, wychodząc z pewnych rozważań matematycz-

nych, wprowadzili do opisu związków szereg struktur fikcyjnych, co w zasadzie jest dopuszczalne. Zakładają jednak, że te fikcyjne struktury działają na siebie i wynikiem ich oddziaływania tłumaczą rzeczywiste fakty.

Jak wykazała dyskusja, która się nad tymi sprawami toczyła w ZSRR w latach 1949—51, teoria rezonansu opiera się na błędnej interpretacji fizycznej rozważań matematycznych, jest wadliwa metodologicznie i jest bezpodłna dla chemii. Ale rzecz charakterystyczna, że wielu uczonych radzieckich, **deklarujących** się jako stojących na gruncie materializmu dialektycznego, przyjęło tę teorię bez zastrzeżeń, gdyż w swej pracy badawczej nie stosowali w dostatecznym stopniu metod materializmu dialektycznego. Dopiero materialistyczna analiza teorii rezonansu doprowadziła do wykrycia błędów tej teorii i skierowała uczonych radzieckich na tor płodnych badań.

Nie ma nauki oderwanej od światopoglądu filozoficznego. Jedynym światopoglądem, warunkującym twórczy rozwój nauki, jest materializm dialektyczny. Chodzi o budowanie przed fałszywymi koncepcjami i błędną interpretacją faktów. Materializm dialektyczny powinien być orężem **świadomości** stosowanym w codziennej pracy naukowej i dydaktycznej.

Schemat i życie

Mieszkałam w Domu Studenckim już czwarty rok. Jak dotychczas nie miałam nigdy zatargu z administratorem, Radą Mieszkańców ani z portierami. Ze współlokatorkami się nie kłóczę, regulaminu przestrzegam, gości wypraszam z pokoju przed 20, nie zajmuję łazienki poza ustaloną kolejką, w kuchni nie zostawiam płonących palników — jednym słowem wszystko powinno być w porządku. A jednak. Właśnie dlatego muszę dziś do was napisać.

Tak się złożyło, że od pierwszego roku studiów byłam „jedynaczką” w swojej grupie. Nie czułam się z tego powodu nieszczęśliwa, tym niemniej bardzo się ciesze, że z chwilą przejścia na kurs magisterski „jedynactwo” moje skończyło się ostatecznie. Miałam bowiem jedną uciążliwą i kłopotliwą stronę: często musiałam wykonywać różne zadania i ćwiczenia seminaryjne — tylko w męskim towarzystwie.

Na przykład prace nad projektami wykonywałam we czwórkę. Ich trzech mieszkało w jednym pokoju w D.S. przy ul. Reymonta 17, a ja jedna — w D. S. przy ul. Wybickiego 2. Prosty ten fakt nie powinien nam w niczym przeszkadzać, gdyby nie to, że projektów było dość dużo i że mieszałyśmy wolne przedpołudnia. Wymarzona pora, by już od godz. 9 obliczać i kreślić. Niestety! Jakże bowiem mogłam się do nich dostać (albo oni do mnie), jeżeli regulamin głosi, że odwiedzanie jest dozwolone dopiero od godziny 15? Gdzie się miała ulokować nasza czwórka z deską kreślarską i całą baterią podręczników (przeważnie wspólną z inną grupą projektującą, z sąsiedniego pokoju).

Sal na uczelni wciąż jest za mały. Zakład mieści się w dwóch pokojach. W pokoju do nauki uczą się jacyś pojedynczy ludzie i spoglądają na nas złym okiem. A nasze pokoje (o ironio losu!) są oba do dyspozycji — ich to znaczy mojej „trójki” — na Reymonta i mój na Wybickiego. Ale cóż? Regulamin „nie przewiduje”. Sporo nerwów kosztowało nas za każdym razem załatwianie takiego „wejścia” w porze zakazanej.

Teraz projekty są już oddane, a minione kłopoty przypomniały mi się znów dzisiaj, kiedy spojrzalam na nowe zarządzenie wiszące w portierni:

„W związku z zarządzaniem zastępce rektora do spraw administracyjnych w sprawie odwiedzin w D.S. podaje co następuje:

1) Mieszkańców D.S. można odwiedzać w dni powszednie w godz. 15 do 20, w niedziele i święta w godz. 10 — 20.

2) Odwiedzanie może się odbywać jedynie w celu wspólnej nauki i w sprawach związanych z pracą społeczną młodzieży, itd. itd.”

Za drugim — następował punkt trzeci, a potem podpis administratora z pieczęcią.

Przeprowadziłam „ewidencję” naszych gości i stwierdziłam, że — niestety — prawie wszyscy będą musieli byćwać nielegalnie, pod różnymi zmyślonymi pretekstami.

Koleжды z roku — pół biedy, dla nich zawsze można wykomunikować jakiś „naukowy cel”, nawet wtedy, kiedy przychodzą na przykład na imieniny którejś z nas (tego regulaminu nie przewiduje).

Ale któż uwierzy, że taka Lila, absolwentka Szkoły Aktorskiej, przychodzi do nas „w celu wspólnej



rys. Jerzy Cwiertnia

nauki”? Chyba, że na lekcje dykcji!

Danka, studentka UJ, nie będzie już mogła przychodzić po prostu w odwiedziny do siostry, tylko będzie to musiała traktować jako: „pracę społeczną po linii rodzinnej”.

Starsi koledzy, absolwenci naszej uczelni, też nie mogą wpasć do nas na szklankę herbaty „po studencku”, tylko — „po linii przenoszenia doświadczeń z przemysłu na bazie podnoszenia poziomu wykształcenia zawodowego młodych kadr” inteligencji technicznej.

Dom Studencki nie jest domem prywatnym. Zgoda. W Domu Studenckim obowiązywać musi regulamin. Zgoda. Gdyby wszyscy studenci zamieszkujący D.S. byli odpowiedzialni wyrobień i reprezentowali pewien poziom — regulamin być może stałby się zbędny i być może, że w przyszłości itd. itd. Ale regulamin ten musi być pisany dla żywych, myślących i właściwie — dorosłych ludzi. Regulamin taki, który w 90 wypadkach na 100 jest omijany, ma zasadniczą wadę: nikt nie traktuje go poważnie.

W. PISARSKA
AGH — Kraków

„Pomoce naukowe“

U nas, na Politechnice Gdańskiej, na wydziale chemii, istnieje kilka wręcz rewelacyjnych przykładów „pomocy naukowych”. Oddaj, one nieocenione usługi w zrozumieniu niektórych abstrakcyjnych pojęć.

Ponieważ nie jesteśmy wcale sobakami, przeto chętnie podzielimy się z wami naszymi pomysłami racjonalizatorskimi. Oto kilka z nich:

Gdy objaśniamy komuś pojęcie temperatury tzw. „zera bezwzględne”, prowadzimy go do audytorium chemii, gdzie już od kilku zim panuje temperatura dająca doskonale pojęcie o 0 st. (Nie bójcie się, że biedakowi po paru godzinach stanie się coś złego — całkowita błędność tzw. „teorii śmierci cieplnej” od dawna została już udowodniona, o czym wie u nas każdy student III roku).

Gdy chcemy objaśnić jakiemuś młodszemu koledze — chemikowi, co to jest „proces cykliczny zamknięty”, powtarzając się nieskończoną ilość razy — mówimy mu: „To jest coś, jak remont naszego gmachu, który już od kilku lat zaczyna się w październiku a kończy w czerwcu”.

Zrozumienie pojęcia tzw. „martwej przestrzeni” znacznie ułatwia nam istnienie na wydziale „Błyskawicy”. Po prostu przyprowadzamy kolegę do oszklonej gablotki i wskazując na gładko heblowane deski z napisem „Błyskawica”, mówimy: „Widzisz, bracie, to jest coś takiego, jak ta „martwa przestrzeń”...

Chcąc „unaocznnić” tzw. „ruchy Browna” częstokroć cieczy, przeprowadzamy pewną analogię pomiędzy ruchami cząsteczek cieczy, a ruchem wykonywanym już od siedmiu dni przez studentów I roku kursu magisterskiego wydziału chemii, którzy to studenci spędzili ostatni tydzień na bieganinie z gmachu chemii do kwestury i z powrotem, w nadziei otrzymania stypendium. Niestety, płonne to jak dotychczas nadzieje, mimo że koledzy z wszystkich lat otrzymali już należne stypendia... Ale za to mamy świetny przykład na „ruchy Browna”.

I wreszcie ostatnią „pomocą naukową” mającą na celu pouczenie młodych chemików, że naukowiec nie powinien całkowicie polegać na swych zmysłach, jest ogłoszenie o konferencji techniczno-ekonomicznej mającej się odbyć na wydziale. Ogłoszenie to przeszło rok wisiało obok dziekanatu. Ktoś nie przywykły do gruntownego analizowania poznawanych zjawisk, ujrzawszy takie ogłoszenie mógłby pomyśleć, że taka konferencja będzie.

Wniosek ten, całkowicie błędny, stanowiłby jedynie dowód, że jego twórca nie ma jeszcze dostatecznej wprawy w naukowym analizowaniu poznawanych zjawisk...

SWIETLANA BIALLOZOR
Politechnika Gdańska

Notatki korespondenta

Wiadomo, że studenci nadmiarem pieniędzy nie grzeszą i zwłaszcza pod koniec miesiąca w kieszeniach ich „wujak wchry”. Nie chce jednak o tym wiedzieć Okręgowy Zarząd Kin w Szczecinie, a przecież i studentom należy się rozrywką. Żadne kino w Szczecinie na żnden seans nie uznaje sprzedaży biletów ulgowych za okazaniem legitymacji studenckiej! Czy chociaż jedno kino w Szczecinie nie mogłoby sprzedawać biletów ulgowych na jeden seans dziennie?



Życie kulturalne studentów mieszających w Osiedlu jest dość ubogie, ale jeśli uwzględni się środki jakimi dysponuje Rada Mieszkańców — to należy przyznać, że widać ogromny postęp. Przede wszystkim warto wspomnieć o umowie zawartej z konsulem czechosłowackim, na mocy której towarzysz z konsultu zobowiązali się wyświetlać bezpłatnie dla studentów filmy w świetlicy Osiedla. Filmy te cieszyły się nadzwyczajnym powodzeniem. (W czasie ich wyświetlania panował tak ogromny tłok, że zapalczowi kinomani potamali dwa stoły).

Świetlica jest dość niefortunnie zbudowana: na środku niej sterczy komin, tworzący ogromną, kanciastą kolumnę. Utrudnia to nie tylko wyświetlanie filmów, ale w ogóle organizowanie jakichś innych widowisk. W tejsz świetlicy odbywają się wieczorki taneczne oraz spotkania młodzieży z wybitnymi ludźmi. (Na przykład świetlica była formalnie oblegana przez mieszkańców Osiedla w czasie spotkania z Edmundem Osmacińskim).

Również interesujący przebieg miało spotkanie z prof. dr Władysławem Górskim. Tematem było... „matematystwo”. Prof. Górski jako prawnik, dawał wyczerpujące odpowiedzi na pytania studentów. Dyskusja była bardzo pożyteczna i wzbudziła wielkie zaciekawienie. Ostatnio otwarty został studencki kabaret „Matador”, który nadał audycje w programie własnym radiowęzła. Na ich treść składają się przede wszystkim piosenki i muzyka w wykonaniu „własnych” artystów oraz wiersze satyryczne.

Więcej takich kabaretów — a z pewnością na nudę nie będziemy narzekać!

* W Osiedlu „mieszka około 3000 studentów. Czy w takim skupisku nie powinno być lekarza, ambulatorium? Niestety próśby studentów nie odnoszą w tym wypadku żadnego skutku. Owszem, w pólśanatorium jest ambulatorium, ale tylko dla mieszkańców pólśanatorium.

A przecież nie zawsze jest czas i nie zawsze można jechać do odległej Przechodni. A może przydzielonoby studentom i dentystę? Wszędzie w prasie czy w radio, gdy się mówi o rozwoju Szczecina, na pierwszym miejscu słyszymy zdanie: „Szczecin, który dawniej nie miał żadnej wyższej uczelni, ma ich obecnie aż czterech!” Ale nie można powiedzieć, aby władze Szczecina przejawiały zbyttną troskę o warunki bytów studentów.

* A teraz na zakończenie o sześciu planach, które — nie wiem dlaczego — nie doczekały się swej realizacji.

Otóż w ubiegłym roku akademickim mówilo się głośno o nadzwyczajnych kredytach przydzielonych na budowę urządzeń kulturalnych i wypoczynkowych dla studentów Szczecina. Miały powstać takie obiekty jak: basen pływacki, sala teatralna, świetlica sala gimnastyczna, kino itp. Niestety, od kilkunastu miesięcy wszystko ucihło i podobno owe kredyty otrzymał Kraków. Dlaczego?

* Znany jest w Szczecinie fakt masowego udziału studentów w nocnych zabawkach — w lokalach nie cieszących się dobrą opinią. Tłumnie odwiedzają studenci knajpę zwaną „Majm Teatrzykiem” lub „Meksykiem”. A więc u „Meksyku” bawia się typy spod ciemnej gwiazdy, kobiety o lekkich obyczajach i... studenci.

Ponieważ lokal ten został zamknięty ze względu na częste awantury, studenci przenieśli się do innych jak: „Turystyczna”, „Zeglarska” czy „Magnolia”. Żadne miasto w Polsce nie ma chyba tylu nocnych lokali co Szczecin. (Zrozumiałe — miasto portowe!) Najlepszym lekarstwem na odciążenie studentów od zabaw w podejrzanych towarzystwach, byłoby według mnie staranniejsze organizowanie zabaw studenckich. Studenci z pewnością nie biegliby do „Meksyku” czy „Bajki” uczyć się tańczyć modną rumbe czy sambe, gdyby mieli możliwość zatańczyć je przy dźwiękach własnej orkiestry. Dlaczego więc młodzież akademicka skazana jest na zabawę przy głośniku grającym okaleczone melodie? Dlaczego przynajmniej raz na miesiąc nie gra któraś z orkiestr uczelnianych?

I wreszcie — dlaczego KU ZSP nie utrzymuje kontaktu z Radą Mieszkańców i nie organizuje tzw. „części artystycznych”?

Pod rozważenie czytelnikom kompetentnym przekazuje...

EWARYST MICKOS
WSE — Szczecin



ilustrował Jerzy Cwiertnia

„Miasteczko na dłoni“

(Dokończenie ze str. 3)

Choć ten trzydziestoletni mężczyzna przechodził zmienne koleje losu, pracował w różnych zawodach, parł się z biedą — zaciążył jednak nad nim drobniomieszczańska atmosfera małego miasteczka. Tkwiła w nim tak głęboko, że lata studiów nie potrafiły jej wyrwać. Wrócił z uczelni taki jaki był przed studiami.

Mozna mieć pretensje i do uczelni, i do Leona Blicharza. Do uczelni za to, że nie potrafiła wychować specjalisty z prawdziwego zdarzenia. Co robił Blicharz w organizacji? Poza pełnieniem przez krótki czas funkcji agitatora — nic. Był średnim studentem i przeciętnym zetempowcem. Wykuł trochę Marksę (aby zdać egzamin), „odbębnił” kilkadziesiąt zebrań, które — jak świadczy jego postawa — nie dały mu wiele i poszedł do pracy jako człowiek, który nie zna podstawowych nawet zasad algebry walki klasowej. Blicharz do dzisiejszego dnia nie rozumie, że robił źle. Chce rzucić aptekę i rodzinny Pułtusk, chce iść do ciepłej, wygodnej pracowni w Warszawie. Dlaczego nie potrafiono wychować Blicharza?

Bez wątpienia nieudolne były metody wychowawcze organizacji, bez wątpienia sporo jest winy uczelni,

ale główną pretensję można mieć do niego samego. Bo nawet przy złej pracy organizacji, w ciągu kilku lat mógł pojąć przy szczyrach chęciach tak podstawowe prawdy, jak prawo walki klasowej i to, że w walce tej miejsce absolutnie-zetempowca jest nie w wrogiem a ze społeczeństwem. Przykład tu jasno wskazuje nam, że nawet w tak dalekim „od polityki” zawodzie, jak zawód farmaceuty, bez przygotowania politycznego nie można dobrze spełniać swych obowiązków.

W. GODEK

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18, ul. Wiejska 17/1. Telefon: red. nac. 891-24, Centrala 832-91.
Prenumerata POPROSTU: Czytelnik jest w kioskach „Ruchu” od 1 do 25 każdego miesiąca Miesięcznik — zł 1,40, kwartalnie — 4,20, półrocznie — 8,40, rocznie — 16,80.
Administracja: RSW „Prasa”, III Delegatura Warszawa, ul. Marszałkowska 8, tel. 807-11.
Drukarnia: RSW „Prasa”, Warszawa, Marszałkowska 3/5.
Zam. nr 627. B-6-1275

Legenda o prenumeracie

Dawno, dawno, tak dawno, aż wydaje się to nieprawdą — był czas, że prenumerata prasy wynosiła na Akademii Medycznej w Białymstoku 80 proc. w stosunku do ogólnej ilości studentów. I dobre to były czasy. Wszyscy studenci wiedzieli, co ciekawego dzieje się na innych uczelniach, w kraju i na świecie.



cle, nie było niespodzianek dla prowadzącego ćwiczenia z ekonomii czy marksizmu, gdy zapytał o zagadnienia bieżące, było o czym podyskutować w zimowych wieczorach w akademickim pokoju czy na zebraniu grupy.

Przyszły wakacje, wszyscy rozjechali się do domów, na wczasy i... — I tu urywa się bajka. Ale postaramy się zacząć tę opowieść snuć dalej, rezygnując jednak z baśniowego tonu.

Wróciłiśmy z wakacji. W większości grup wybrano nowych kolporterów.

Ogólnie ogłoszono, że „mały czytać i prenumerować”.

Prenumerowaliśmy. A ponieważ nowi kolporterzy a nawet ci, którzy już przedtem nimi byli, nie zawsze na czas dokonywali wpłaty, bądź zbyt późno odbierali prasę z portierni czy też z KU ZSP, coraz rzadziej i coraz bardziej nieregularnie gazety docierały do studentów. Stosy pism rosły na szafach, rosły i szły nieczytane na makulaturę i ziowu rosły i znów nie były czytane, bo student ich nie otrzymywał, a gdy otrzymywał, to coż mu po gazetach sprzed tygodnia? A ZU ZMP patrzył, patrzył i, o dziwo, niczego nie widział. A kiedy w końcu przejrzał, zawyrokował krótko: wszystkim winna sesja, studenci nie mają czasu na czytanie.

A może ZU ZMP potrafi nam powiedzieć, dlaczego na innych uczelniach pomimo sesji nie doszło do tak skandalicznej sytuacji w czy-

telnictwie prasy jak w białostockiej AM, na której prenumerata prasy spadała z miesiąca na miesiąc, zarówno przed sesją jak i w czasie sesji, aż wreszcie sięgnęła prawie zera?

Niech jednak cyfry mówią same za siebie. W listopadzie ub. r. ilość prenumerowanych egzemplarzy PO-PROSTU przekraczała 200 a innych pism i gazet prenumerowano około 117. Od grudnia notujemy ustawiczny spadek. ROK II, III, IV i V nie prenumeruje ani jednej gazeci, czy czasopisma. To zestawienie nie wymaga chyba komentarzy? Oczywiście. Dodajmy tylko dla uzupełnienia jeszcze jedną liczbę 1008. A tytuł właśnie studentów liczy AM w Białymstoku.

Kto za to ponosi winę? Czy studenci, którzy całkiem słusznie nie chcieli wydać pieniędzy na gazety, które nieregularnie lub wcale do nich nie docierały, czy też ZU ZMP?

Czy istotnie trudno było zebrać kolporterów poszczególnych, lat i grup studenckich i poinformować ich gdzie, kiedy i jak należy zamawiać prenumeratę oraz jak prowadzić kolportaż, a potem sprawdzać, jak wywiązuje się z podjętych zobowiązań?

He—M

CONTRA OMNES ■ BELLUM CONTRA OMNES ■ BELLUM CONTRA OMNES

Szmira jest nieśmiertelna

Mozna jej poucinać łby, jak mitologicznej hydrze, można przysłać w książce, usunąć z biblioteki, wygnać z wieczornicy. Ale oto, kiedy jesteśmy już niedalecy od otrąbienia sukcesu, kiedy opariliśmy zwycięską stopę na stoisie Minskowczy, Zarzyckiej, Curtis-Mahler i nade wszystko licznego potomstwa księdzę Bakl — nagle wychyli się zniennacka i zawoła: Jesteś!

Właśnie poprosiła o azyl w „Nowej Kulturze”. W numerze 12 ocalał tam zapomniany niedawne światło muzyczne niejaki pan Stanisław Ziembicki, i to na pierwszej kolumnie. Nic dziwnego! — dla redaktora działu poezji jakak okazja zamierzania głębokiej wzięci pisma z życiem — a dla autora ileż możliwości snucia głębokich rozważań o Chopinie. Pochylił się nad „V Konkursiem Chopinowskim”, a znajdziemy tam istne pereły natchnienia — motyliki, fruwalące między palcami pianisty, dzwoniące deszczem, szleszczące listki, nucające gwiazdy — a wszystko to połączane, posrebrzane, że aż się oko raduje, a dusza śpiewa — o dana, dana! Brak tylko złotowłosego pastuszka, wygrzywiającego rzewne piosnecki na fujarce zza krowich ogonów — ale jest za to ostatnia zwrotka: Matka ięł nawleka, syn książkę otwiera, Córka w chlebie powoli srebrny nóż zanurza.

Andrzej Drawicz

Raczej BSNR

Ceglasta okładka, okazała objętość oraz uczone tytuły autorów, rzucająca się od razu w oczy temu, kto po raz pierwszy bierze do ręki „The Advancement of Science” — pismo wydawane przez Brytyjskie Stowarzyszenie Postępu Naukowego. Wymienione cechy zewnętrzne budzą też z miejsca przekonanie o tym, że ma się do czynienia z pismem poważnym, podającym tylko dokładne sprawzone fakty, krótko mówiąc z pismem w całym tego słowa znaczeniu naukowym. Jakież więc będzie lumienie tego, kto otworzy numer grudniowy (z 1954 r.) omawianego pisma i na stronie 331 odczyta następujące stwierdzenie: „Každy może odważnie powiedzieć, sama nauka jest działalnoscia zasadniczo religijną. Nie jest ona cala religia, ale jej czescia” (podkreślenie moje — kp).

Kto to napisał i jak mogły się takie „odkrywcze” i „sprawzone przez fakty” twierdzenia ukazać w poważnym czasopiśmie naukowym?

Odpowiedź na te pytania znajduje się na stronie 321, na której zaczyna się artykuł, po dziesięciu stronach rozważań dochodzący do wniosku przytoczonego powyżej. Artykuł ten, pod tytułem „Nauka i religia”, jest tekstem przemówienia wygłoszonego przez prof. C. A. Coulsona, F.R.S., na dorocznym zgromadzeniu Bryt. Stow. Postępu Nauk. w Oxford.

Pomyśleć, że wiek bez mała minął od czasu, gdy na innym dorocznym zgromadzeniu BSPN, także w Oxford, słynny biolog Huxley bronił teorii ewolucji przed atakami biskupa Wilforce’a. Teraz wśród członków W Stowarzyszenia nie znalazł się ani jeden Huxley, by oświadczać o naukowemu ciosy przedstawiciela Ciennogrodu, odzianego tym razem nie w sutannę lecz w togę.

Wobec tego radzimy władzom BSPN, by zmieniły nazwę stowarzyszenia. Winna ona brzmieć: Brytyjskie Stowarzyszenie Naukowego Regresu. KP

„Sprawy międzynarodowe” i polszczyzna

Oto jeży przede mną styczniowy numer zawsze interesujących „Spraw Międzynarodowych”. Tym większą przykrość sprawia mi fakt, że zamieszczony w tym numerze artykuł prof. Łychowskiego o sytuacji gospodarczej świata w r. 1954 został napisany okropną polszczyzną, która — jak widać — uszła uwadze całego grona redaktorów, adiutorów i korektorów, a która sprawia czytelnikowi mnóstwo trudności w lekturze.

Wskię ramy tej notatki nie pozwalają na szczegółową analizę wszystkich błędów językowych popełnionych na przestrzeni 700 wierszy omawianego elaboratu. Nolens volens zadowolimy się więc tylko dwoma przykładami.

Nie ulega wątpliwości, że użyte przez autora takie słowa jak „najprzód” (str. 15) lub „pieredyszka” (str. 27) nie mają nic wspólnego z ich pleksem, ani nawet z poprawną polszczyzną. „Pieredyszka” została co prawda obwarowana c udzielo-

dził ani z niej ani z nieślubnego dziecka. Prawdziwie ludzka sprawa. Więc dalej! Dlaczego by nie postawić sprawy na głowie, na pewno zjawiskowo stanie się „typowe na wyrost”(!) Autor rzecz uogólnia, w komentarzu nazywa to rodzeniem się nowej moralności.

Woroszylski w jednym z wierszy pisze:

„Jakże mam w oczach nosić

gdy tyle w nich miłości, powiedz: czas w serca węzeł wiąże krew To z nas się poczęł w tobie człowiek”.

Głęboko ludzkie, portraktowanie sprawy: nowe życie powstaje właśnie z miłości wzajemnej i gorącej. I tak wygląda według mnie prawidłowo postawiony problem moralności.

Poza tym w sposób apofeonizowany przez Kozickiego zubaża się dziecinstwo, dziecku odbiera się ojca i ojcowską miłość. Rozbija się rodzinę, która właśnie krzepnie w ustroju socjalistycznym.

Protestuję!

(Z reportażu Stefana Kozickiego „Reporterskie sumienie”. (Przegląd Kulturalny Nr 9, marzec 1955).

„W małym pokoiku na ostatnim piętrze jednego z czerwonych bloków hotelowych spi spokojnym snem niemowlak. Czuwa przy nim młoda matka, bękittnooka dziewczyna — maszynistka parowozu. Krystyna K., przodownik pracy, o której mówią, że „robi się czarna jak tylko o swoim parowozie pomyśli”, dobrze zarabiająca, przystojna — nie chciała mieć męża. Wcale. Postanowiła mieć dziecko — nie więcej... Wraz z dzieckiem rodzi się w Nowej Hucie początek nowej moralności. Wraz z samodzielnoscia przyzwacana jest pełna godność kobiecie-macie”.

Zauważyłem, jak jedna ze studentek po przeczytaniu tego fragmentu zbładła gwałtownie i wyszepała: „chamstwo”.

W ustroju socjalistycznym kobieta może z pewnością utrzymać dziecko bez pomocy męża, na pewno nikt rozumny nie będzie szy-



Sport



Sport



Sport



Sport



Sport



Więcej kręcić mniej „kręcić“

Ze zbliżającym się Wyścigiem Pokoju zaczyna się więcej mówić (i pisać) o kolarstwie. Centralną prasę sportową interesuje przede wszystkim kadra narodowa, my zajmujemy się ponadto tym co nas boli, czyli „kopciuszkiem” studenckiego sportu — kolarzami AZS.

Z istniejących trzech sekcji kolarskich AZS w Warszawie, Gliwicach i Poznaniu najwyższy poziom wyszkolenia reprezentują Gliwice. Sekcja zresztą najliczniejsza. Zdawałoby się, że Ślązacy mają zapewne jak najlepsze warunki pracy, które umożliwiają dalszy rozwój ich umiejętności. Niestety, tak nie jest. Społeczna sekcja kolarska przy ZG AZS z trenerem Hiszmem na czele, prowadzi dość dziwną politykę w stosunku do gliwickich kolarzy. Odmawia się im prawa startu w poważniejszych ogólnopolskich imprezach kolarskich motywując to... brakiem odpowiedniej ilości zawodników I klasy w pozostałych sekcjach.

W ubiegłym roku trener sekcji kol. Szykolewski został wytypowany (tym razem nawet przez ZG AZS) na kurs trenerski. Papiery posłano do WKKF i... na tym się skończyło. Po pewnym czasie kan-

dydat ze zdumieniem dowiedział się, że zamiast niego na kurs pojechał kol. Krotowski z Poznania. ZG AZS podobno nic o tym nie wiedział twierdząc, że kol. Krotowski sam sobie załatwił skierowanie. (?)

Tymczasem kol. Szykolewski trener — samouk (i dobry zawodnik) dalej szkoli swoich chłopców, osiągając coraz lepsze rezultaty („wychował” już czterech zawodników I klasy) i sam boryka się z trudnościami.

Kolarze gliwickiego AZS cieszą się dobrą opinią wśród innych zrzeszeń na Śląsku. Do startów są solidnie przygotowani, biorą udział we wszystkich imprezach kolarskich okręgu. Na przykład w tegorocznych mistrzostwach Gliwic startowało 20 zawodników AZS. Na treningach (tylko w lutym) zawodnicy I i II klasy „przekreśli” 720 km. Jednym słowem — pracują ambitnie.

Dlaczego wyników tych nie widzi kierownictwo sekcji społecznej przy ZG AZS? Gliwicy azetasiacy żądają zaprzestania polityki „ dyskryminacji dzielnicowej”. Oni uznają „kręcenie” tylko nogami...

AB.



...będziemy kręcić po śniegu!

Wilczewski wychylił się przez okno.

— Znowu pada śnieg. — Licho nadało taką pogodę — skrzywił się Elek Grabowski.

— Co robić? — zastanawiali się w tym czasie trenerzy.

Tylko Wójcik nie tracił humoru: — Śnieg, to śnieg. Będziemy kręcić po śniegu...

Ale to nie pocieszyło innych kolarzy-kadrowców — zgrupowanych w Polanicy-Zdroju w DW „Górniki” na obozie przygotowaw-

czym przed VIII Wyścigiem Pokoju. Wszyscy bowiem wiedzą, że Wacek Wójcik jest silny jak tur, ma dobrą kondycję, a nieodstępującym go ani na chwilę humorem potrafi wyrównać nawet największe trudności. Największe trudności są z... treningiem. Prawda, że trening bywa zawsze trudny, ale warunki atmosferyczne panujące w ostatnim okresie w całej Polsce zburzyły harmonogram dnia kolarzy — trzeba było z pewnych ćwiczeń zrezygnować (trening szybkościowy), zastępując

Kolarze tęsknią za wiosną

je innymi, mniej potrzebnymi w danej chwili.

Jednak nawet taka pogoda nie jest w stanie wpłynąć ujemnie na samopoczucie kolarzy. Nikt nie narzeka — wszyscy pracują bardzo dobrze i jak mogą najstaranniej przygotowują się do wielkiego dnia dnia 2 maja.

Wszyscy zawodnicy mają dobrą kondycję, są zdrowi i w dobrych humorach. Można stwierdzić, kto ma najlepszy apetyt, można stwierdzić, że najlepiej tańczy Chwien-dacz, że Hadasik najlepiej rysuje, a Elek Grabowski cieszy się w Polanicy największą popularnością. O formie poszczególnych zawodników trudno w tej chwili mówić. Ocenimy ją dopiero na eliminacjach, z których pierwsza odbędzie się 12 kwietnia.

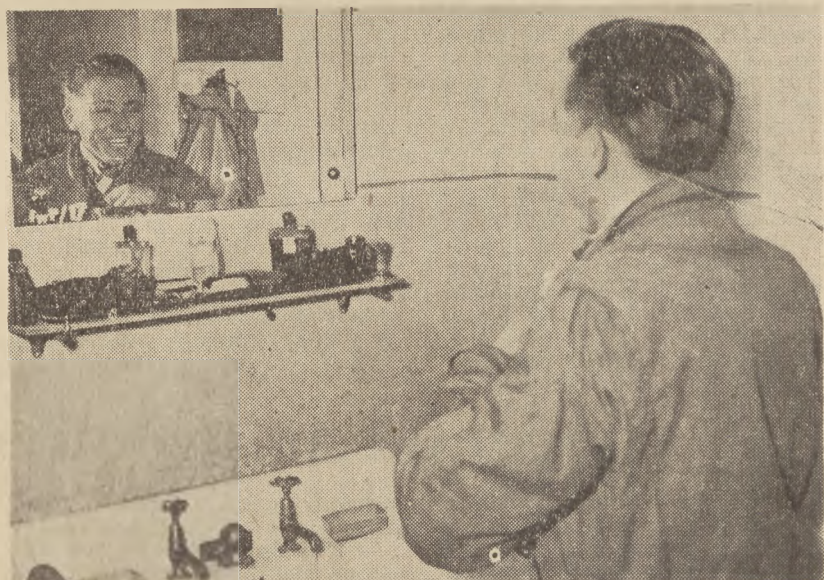
Do tego czasu wszyscy nasi kadrowie będą czekać na wiosnę, która powinna w tym roku przyjść do Po-



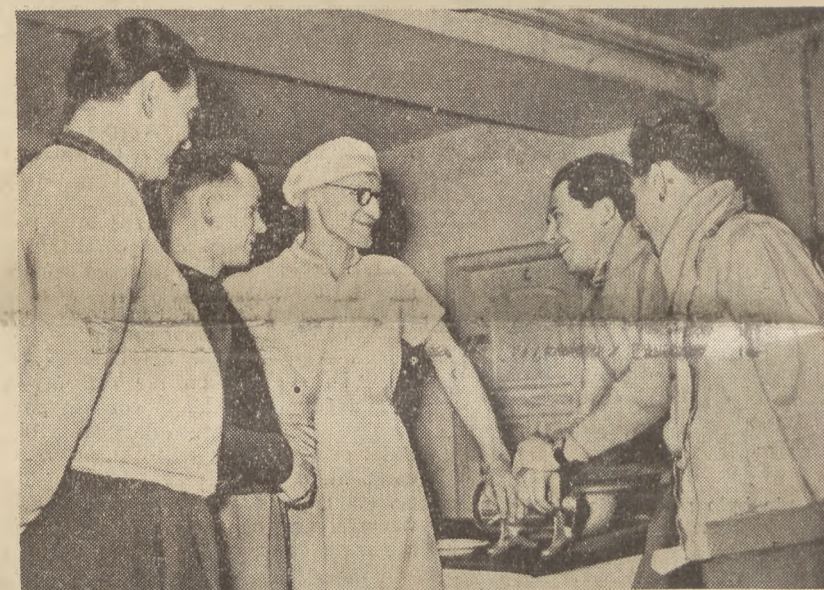
...pogoda nie jest w stanie wpłynąć ujemnie na samopoczucie kolarzy.

lanicy jak najwcześniej, aby nasi chłopcy stanęli na starcie w Pradze w doskonałej formie.

A. G.



...Elek cieszy się w Polanicy największą popularnością.



...kto ma najlepszy apetyt.



...Hadasik najlepiej rysuje.

Trzy miesiące po wielkim praniu

W pokoju AZS wciąż czekano. Przewodniczący Kazimierz Doktor niecierpliwie śledził wskazówki zegarka.

— Jak myślicie, czy oni przyjdą? — zapytał.

— Biorąc pod uwagę nasz uniwersytecki kwadrans — mogą przyjść — rzucił ktoś filozoficzną uwagę.

Upłynęło kilkanaście minut. Drzwi z napisem „AZS Uniwersytetu Warszawskiego” nie otworzyły się ani razu: nikt więcej nie przybył.

— Trudno. Zaczynamy bez nich.

To pierwsze spotkanie nowego Zarządu Uczelnianego AZS z przedstawicielami wydziałów Uniwersytetu wypadło mało zachęcająco. Zamiast oczekiwanych dwunastu osób, zjawili się tylko pięć.

— Omówię teraz plan naszej przyszłej pracy — powiedział z namysłem Doktor.

I w tej chwili zrozumiał, że będzie miał z tym wszystkim nielaty orzech do zgryzienia.

PO UPLYWIE MIESIĄCA

Ideę dziedzicem uczelni. Na wprost ciemnie wielki gmach biblioteki. Tłum studentów, ślizgających się na oblodzonym chodniku, spieszy na wykłady.

Spojrzenia zatrzymują się na murze zalepionym afiszami. Jeszcze niedawno jaskrawiły się tutaj barwne obwieszczenia karnawałowe. Na ich miejscu przyciągał wzrok szare prostokąty plakatów, których przedtem nigdy nie było: przyjmuje się zgłoszenia do druży-

ny piłki nożnej; w tych dniach powstała sekcja turystyczna i narciarska...

Pieniądze na sprzęt dla tej ostatniej zdobyto za pomocą udanej wieczornicy. Ale tu dopiero rozpoczęły się targi pomiędzy Zarządem Wydziałowym ZMP ekonomii a samymi sportowcami. Pierwsi wołali o masowość, drudzy obstawali przy wysłaniu jednej drużyny, wyposażonej we własny sprzęt, na Raid Wysockogórski organizowany przez PTTK 17 marca. W międzyczasie zaradni narciarze zdążyli zakupić narty, a Zarząd spóźnił się ze zgłoszeniem masowego udziału ekonomii w Raidzie poprzez Puszczę Kampinowską. Nieporozumienia trwają.

Czy jednak tak trudno jest całą rzecz „ozdobić, by „wik był syty” i masowość zapewniona? Fundusz można podzielić. Tym bardziej, że zamierza się urządzić nowe wieczornice dochodowe. Natomiast udział choćby jednej drużyny w Raidzie Wysockogórskim i zdobycie większego doświadczenia mogłoby całej sekcji wyjść na dobre.

Jednakże trudność nr 1 sportu uniwersyteckiego, to brak sal. Zarząd AZS dokonuje karkołomnych kombinacji, by wystarać się o miejsce do treningu i rozgrywania spotkań. Z powodu braku sali przerwało rozgrywki ligowe.

Ze w stolicy ilość obiektów przeznaczonych dla sportu akademickiego jest całkowicie niewystarczająca — o tym powszechnie wiadomo. Dlatego też należałoby zrewidować dotychczasowy plan ich wykorzystania. Stołeczny Komitet KF miał-

by tu wiele do powiedzenia. Dlaczego tak wielki liczebnie ośrodek jak UW jest w dalszym ciągu pozbawiony minimalnej ilości miejsc dla treningów.

Do Zarządu Okręgowego AZS można by skierować inne pytanie. W roku ubiegłym upadła liga młodzieżniczna. Poszczególne uczelnie skazane zostały na rozgrywki wyłączone na własnym podwórku i przez cały rok żyć muszą nadzieją Akademickich Mistrzostw Polski we Wrocławiu. Czy to trochę nie za mało?

*

Nadeszła już wiosna, znikł śnieg z ulic i skwerów. Warto pomyśleć o boiskach. Cóż, kiedy jedyną wolną przestrzeń UW zajmują działki doświadczalne Akademii Medycznej. Instytucja ta dawno opuściła teren Uniwersytetu, ale uparcie podtrzymuje swoje pretensje do działek. Pertraktacje pomiędzy AM i AZS toczą się na podobieństwo rokowań międzynarodowych: nikt nie wie, kiedy się skończą.

A członkowie AZS chcą grać na własnym boisku i należy im to umożliwić.

POST SCRIPTUM

Nie jest to obserwacja mylna. Na wszystkich uczelniach tak się dzieje, że pierwsze lata dźwigają cały ciężar życia sportowego: przynoszą ze sobą entuzjazm i zapał, nie za-

pozostałych uniwersytetów z okazji Igrzysk.

KRAKÓW

W ramach przygotowań festiwalowych Zarząd Koła AZS i Studium WF przy Politechnice Krakowskiej w dniach 26 i 27 marca organizują w Zakopanem międzyuczelniane zawody narciarskie.



W zawodach startują studenci WSWF, AGH, UJ, WSR, ASP, Politechniki Krakowskiej i Politechniki Warszawskiej. W programie przewidziany jest slalom gigant i slalom specjalny. Największe szanse na pierwsze miejsce mają podobno gospodarze...

WARSZAWA

W ostatnią niedzielę w świetlicy DS przy ul. Kiełkowej odbył się inicjatywny ZK AZS przy UW — błyskawiczny turniej szachowy.



Po sześciodziesięciu walkach zwycięzca turnieju i zdobywca wiecznego piana został W. Świeciński z wydziału dziennikarskiego.

Ciekawostką zawodów było wzięcie udziału w nich przez niektórych mistrzów uczelni. Kibiców z wydz. dziennikarskiego, a szczególnie tych, którzy uprzednio poczynili poważne zakłady w czekoladzie.

Kr.

STARTUJEMY na II MISM

Kibice też...

Organizatorzy II Międzynarodowych Igrzysk Sportowych Młodzieży słusznie uznali, że kibiców i zwolenników sportu w Polsce należy rozruszać. Często na trybunach słyszy się utyskiwania: E, taka gra — ja bym potrafił lepiej, albo, „ja bym też tyle skończył”...

— Właśnie teraz nadawaj się — kazda do spróbowania swych możliwości na boisku.

Tą atrakcją dla

tysięcy zwolenników sportu w Polsce jest „Sportowa Odnaka Młodzieży”, którą będziemy masowo zdobywać w okresie poprzedzającym

Igrzyska i w czasie ich trwania. Warunkiem zdobycia odznaki, która ma stopień: srebrny i złoty, są wyniki osiągnięte w trzech rodzajach ćwiczeń.

Normy na odznakę są następujące:

dla mężczyzn:	złota odznaka	srebrna odznaka
bieg 60 m.	12 sek.	10 sek.
skok w dal	4,30 m.	3,60 m.
lub		
skok wwyż	1,25 m.	1,10 m.
pechnięcie kuli (5 kg)	8,50 m.	7,00 m.
podrzut ciężarów		
oburącz	50 kg	40 kg
lub		
wspinanie na linie	bez pomocy nóg	z pomocą nóg
Dla kobiet:		
bieg 60 m.	12 sek.	13 sek.
skok w dal	3,30 m.	2,80 m.
lub		
skok wwyż	1,10 m.	0,95 m.
pechnięcie kuli (4 kg)	5,50 m.	4,00 m.
lub		
rzut piłką rączną	25 m.	20 m.

Jak wynika z podanego zestawu norm nie są one zbyt wysokie.

Widać więc, że wielu kibiców, wielu miłośników sportu, a w tym i wielu studentów wepnie do kłapy zaszczytną festiwalową odznakę.

aga

rys. Jerzy Cwiertnia



Telefonem z Kół A-Z-S

ŁÓDŹ

Sportowcy Akademii Medycznej uzyskali nareszcie (po kilkakrotnych interwencjach Zarządu Okręgowego AZS i Egzekutywy POP przy AM) obiekt sportowy przy ul. Kilińskiego. Znajduje się tam obszerne sala sportowa, lokal dla AZS i Studium WF.

Jak nas informował ZG AZS kompletne wyposażenie sali zostanie przekazane w najbliższym czasie. Przyпускаjmy więc, że jeszcze w tym roku akademickim.



W tym dniach stało do „pierwszego kroku” 20 młodych zawodników-wychowanków sekcji szermierczej AZS przy Akademii Medycznej. Czy wśród nich kryje się nowy Zabłocki czy Pawłowski — wkrótce zobaczymy.

OPOLE

Młode koło AZS przy Wyższej Szkole „edukacji”. Zauważyć się np. że sekcja szermiercza. Zauważyć się np. że sekcja szermiercza. Zauważyć się np. że sekcja szermiercza.



Wynikiem takiego rozwiązania sprawy jest obopólna korzyść. Zawodnicy startują już w drugiej klasie, a sekretarz WKKF... — trochę się „rozruszał”.

WROCŁAW

Zarząd Koła AZS przy UBB zorganizował niedawno masowe zawody pływackie w których wzięło udział ponad 200 studentów. Pływacy przygotowują się do mających się odbyć w maju rb. Igrzysk Uniwersyteckich.

